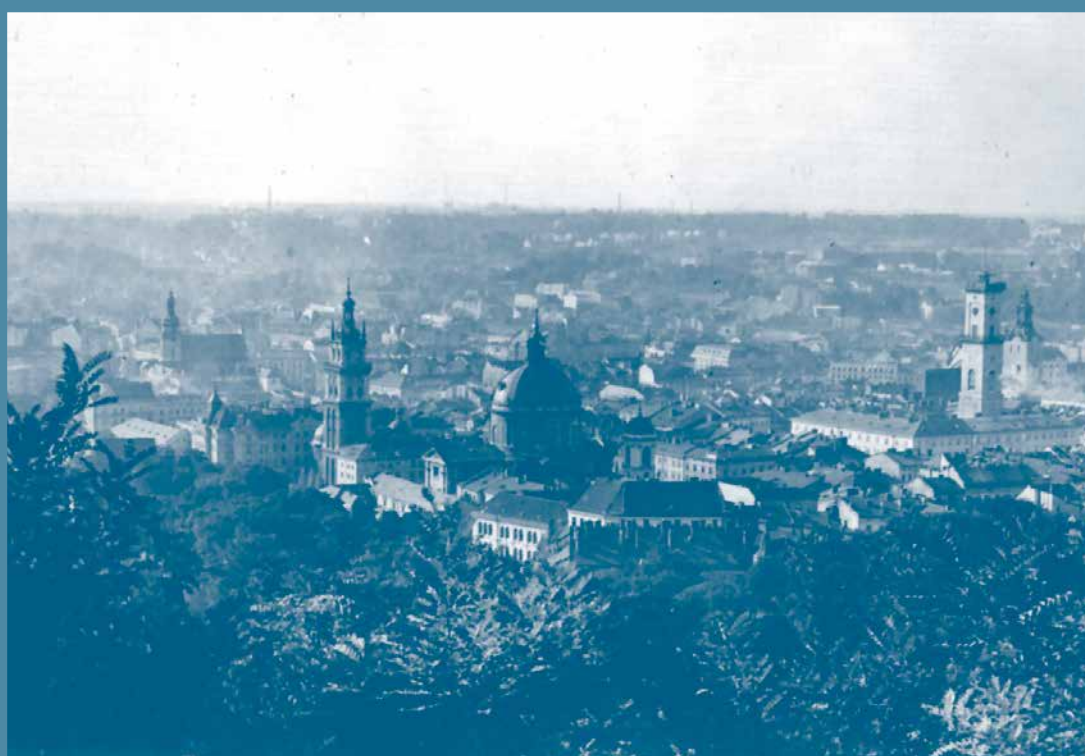


CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



3

(96) 2019

O XXX-leciu Oddziału Krakowskiego TMLiKPW piszą Anna Madej, Krystyna Stafińska, Anna Stengl, Romana Żuk, Stanisław Czerny ♦ Aleksandra Solarewicz rozmawia z Anną Fastnacht-Stupnicką ♦ Michał Piekarski pisze o związkach Stanisława Moniuszki ze Lwowem ♦ Poezja Tadeusza Śliwiaka ♦ Proza Dyonizy Wiczczyńskiej

Jubileuszowo...

Oddając w Państwa ręce ten numer kwartalnika *Cracovia-Leopolis* mam świadomość jego odmienności. W październiku jubileusz obchodzi nasz wydawca – Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Pierwsza część pisma poświęcona jest więc Towarzystwu. Członkowie zarządu dzielą się z Państwem refleksjami na temat ostatnich pięciu lat działalności. Dołączam do tego grona dopisując kilka słów jako redaktor naczelny *Cracovia-Leopolis*, które należy do ważniejszych odcinków działalności Zarządu. Z jednej strony to radosny czas, bowiem przez trzy dekady zaznaczamy wyraziście swą obecność. Spotykamy się co miesiąc „Pod Gruszką”, wciąż aktywne życie toczą Koła Stanisławowian i Tarnopolan, co roku wyjeżdżamy we własnym gronie na Kresy, zbieramy finanse na odnawianie nagrobków na Cmentarzu Łyczakowskim, w końcu wydajemy mające duże znaczenie dla kresowian w Polsce pismo. Jesteśmy wciąż obecni! Z drugiej strony żal serce ściska, bo w tak krótkim czasie odeszli ważni dla TMLiKPW ludzie: Andrzej Chlipalski, Adam Guyrkovich i Jerzy Kowalczuk. Cześć ich pamięci!

Drużga część czasopisma poświęcona jest zagadnieniom, które zainteresują wszystkich czytelników. Przypominamy nieznanym lub zapomnianym ludzi, którzy w swych czasach nadawali rytm życia, ich dzieła – wiersze, wspomnienia... Cieszą też dawne fotografie, które ukazują nam tamte czasy. Z lubością zagłębiajmy się w minionych historiach. Szczęściem wydawnictwa w ostatnich latach nie szczędzą nowości książkowych. Choć one tak dużo kosztują, no i gdzie je pomieścić?... Patrzymy na naszych przodków, widoki miast wypełnionych ludźmi... Jak niewiele różnimy się od tych, co przeminęli. Może trochę inaczej się ubieramy, otaczamy się innymi przedmiotami. Ale oni przecież tak samo kochali, cierpieli, dążyli do doskonałości, jak my dzisiaj. Zmieniły się możliwości technologiczne, życie przyspieszyło. Nie mamy czasu na nic. Nie piszemy listów, robimy miliony bezsensownych fotografii, nie piszemy dzienników, tworzymy tysiące filmików mających zatrzymać chwile z naszego życia. Jak będą wyglądać archiwa po nas? Czy te zdjęcia, anonimowujące szybciej niż kiedykolwiek, filmiki będące ulotnymi etudami o niczym i o nikim na nieprzeniknionych serwerach przetrwają?... Może tak źle nie będzie, ale trzeba myśleć o tym, co się stanie z naszymi książkami, rodzinnymi fotografiami, dziennikami i listami. Przejorni zawczasu deponują je w różnych archiwach, bibliotekach i muzeach, do których trafiają historycy, pisarze, publicyści...

W pierwszych dniach września byłem w Krzemieńcu na jubileuszowym Dialogu Dwóch Kultur. To już 20 lat Mariusz Olbromski wraz z żoną Urszulą przywożą z całej Polski uczonych i artystów na dysputę u stóp góry Bony z ukraińskimi naukowcami i artystami. Panie, Panowie – gratulując kłaniam się im nisko – *chapeau bas!* Krzemieniec właściwie od lat się nie zmienia, może tylko ruiny zamku nieco „urośli”. Ale na dobre im to wyjdzie, nie rozsypią się tak szybko! Pani Irena Sandecka tymi słowami utrwaliła swe miasto:

*Jak piękny jest Krzemieniec
We mgłach listopada
Miękki tuman wyścięła jary i dolinę
Nikną wszystkie kolory brunatne i sine
Szarości ziemi – bielą niebo odpowiada.*
(fragment wiersza *Stella Maris*)

Tak piękny jest Krzemieniec...

Janusz M. Paluch

XXX lat Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich 1989–2019



·LWÓW·



·STANISŁAWÓW·



·TARNOPOL·



·ZŁOZÓW·

·SAMBOR·

·ŻÓŁKIEW·



·ZALESZCZYKI·



·STRYPY·

Nie rzucę, nie zostawię najdroższego miasta –
Dlaczegoż ma mi życia zamierać połowa?
Może się poza Lwowem jakiś świat rozrasta,
Ale cóż mi po świecie, w którym nie ma Lwowa!...

Jan Zahradnik, 1929

Anna Madej

XXX lat Oddziału Krakowskiego TMLiKPW

Oddział Krakowski zawiązał się 25 lutego 1989 r., w kilka miesięcy po powstaniu Towarzystwa we Wrocławiu. Początki były imponujące, gdyż około półtora tysiąca przymusowych przesiedleńców z trzech województw Małopolski Południowo-Wschodniej (Lwów, Stanisławów, Tarnopol), osiadłych w ramach „repatriacji” (czytaj ekspatriacji) w podwawelskim grodzie, zgłosiło akces do Towarzystwa.

Nie będziemy tutaj się rozwodzić nad szczegółami minionych lat; pisaliśmy o tym w kolejnych biuletynach wydawanych z okazji X-, XV-, XX-, i XXV-lecia naszego Towarzystwa. Wspomnieć tylko należy, że spośród wielu kół, które działały przy Towarzystwie, ostały się tylko trzy: Lwów, Stanisławów i Tarnopol. Liczba członków też naturalną koleją rzeczy drastycznie się zmniejszyła. Jest nas teraz 10 razy mniej. Dzieci i wnuki co prawda kibicują naszej działalności, ale nie chcą włączyć się czynnie w sprawy kresowe. Jest więc rzeczą naturalną, że i charakter działalności mocno się zmienił.

Praca Oddziału koncentruje się głównie na sprawach renowacji grobów na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie i wydawaniu kwartalnika *Cracovia-Leopolis*. Po wielu trudnościach i prawie rocznej prze-

rwie w 2017 r. wznowiliśmy wydawanie tegoż kwartalnika, przy bardzo uszczuplonym gronie redakcyjnym i pod przewodnictwem nowego redaktora naczelnego. A zrobiliśmy to z uwagi na usilne prośby naszych czytelników z całej Polski, którzy uważają kwartalnik za jedno z najlepszych pism o tematyce kresowej w kraju.

Sprawa renowacji grobów na Cmentarzu Łyczakowskim jakoś się toczy, a to dzięki corocznym kwestom na ten cel na cmentarzach krakowskich, jak i zaangażowaniu naszych dwóch Kolegów, którzy kilka razy do roku jadą do Lwowa, aby prace wyznaczyć, a potem odebrać. A teraz mamy nadzieję, że będzie całkiem dobrze, gdyż dołączył do nas młody entuzjasta Cmentarza (mgr historii), pełen energii i pomysłów, jak zdobyć fundusze na te naprawy (strona facebookowa: Renowacja Cmentarza Łyczakowskiego).

Z dotychczasowej działalności utrzymały się jeszcze comiesięczne spotkania w klubie „Pod Gruszką” oraz msze św. – 22 listopada w Bazylice Mariackiej, w rocznicę Obrony Lwowa (chwalebne jest to, że dzięki zaproszeniom wysyłanym do szkół na te msze przychodzi sporo młodzieży). Raz na kwartał w katedrze na Wawelu odprawiana jest msza św. przed oryginałem obrazu Matki



Na Cmentarzu Obrońców Lwowa

Bożej Łaskawej z katedry lwowskiej, „wyciąganym” na tę okazję ze skarbca katedry. Jakże wzruszające jest wtedy słuchanie chóru katedralnego śpiewającego: *Śliczna Gwiazdo Miasta Lwowa!*

Spotkania „Pod Gruszką” (o nich osobny artykuł) w pierwszy wtorek miesiąca gromadzą nie tylko naszych członków, ale też sporo sympatyków. Raz do roku w karnawale mamy „Bal Lwowski”,

na który przychodzą entuzjaści dobrej zabawy. Ostatnie dwa takie bale odbyły się dzięki uprzejmości p. Romy Krzemień w jej domu. Pani Roma, zarażona lwowskim bakcylem, często uświetnia nasze spotkania występami swoich muzycznych wychowanków, czyli „Promyków Krakowa”. Tradycyjnie w styczniu odbywa się spotkanie opłatkowe. W ostatnich latach jest to wspólne spotkanie Lwowian, Stanisławowian i Tarnopolan, a raz nawet dołączyło do nas PTG „Sokół”, które właściwie jest gospodarzem obiektu, w którym od 1992 dzięki prezesowi dr. Konradowi Firlejowi mamy bezpłatną skromną siedzibę. W gmachu „Sokoła” przy ul. Piłsudskiego 27 odbywają się posiedzenia Zarządu Oddziału (wcześniej dwa razy w miesiącu, obecnie tylko raz), a także cotygodniowe dyżury członków Zarządu (środy od godz. 15.00 do 18.00).

10 grudnia 2016 r. na walnym zebraniu sprawozdawczo-wyborczym wybrano nowe władze Zarządu Oddziału. I tak prezesem został ponownie wybrany Adam Gyurkovich, a w skład Zarządu weszli: Stanisław Czerny – wiceprezes, Edward Adles – skarbnik, Anna Madej – sekretarz, Urszula Kogut – prowadzenie sekretariatu, Krystyna Stafińska i Barbara Szumska – członkowie.

Ostatni rok (wrzesień 2018 – wrzesień 2019) był dla naszego Oddziału bardzo trudny i smutny. Na wieczną wartę odeszli bardzo aktywni członkowie: Danuta Trylska-Siekańska (Rada Redakcyjna *Cracovia-Leopolis*), Zdzisława Stopczyńska – wieloletni członek Zarządu i organizator spotkań u o.o. Dominikanów, Adam Gyurkovich – prezes Oddziału (po jego śmierci pełniącym obo-



Prof. dr hab. Jerzy Kowalczyk (1926–2019), pierwszy prezes Oddziału Krakowskiego TMLiKPW



Adam Gyurkovich (1926–2019), prezes Oddziału Krakowskiego TMLiKPW w latach 2000–2019

wiązki prezesa został wiceprezes Stanisław Czerny), Teresa Kondolewicz-Wilk – bardzo aktywnie wspomagająca nas w zbieraniu funduszy na renowację Cm. Łyczakowskiego, Jerzy Bożyk (przyjaciół uświetniający nasze spotkania swoim muzykowaniem), Barbara Szumska – członek Zarządu i Rady Redakcyjnej *Cracovia-Leopolis*, a 15 sierpnia 2019 Andrzej Chlipalski, współzałożyciel Towarzystwa, jego *spiritus movens*, twórca i wieloletni redaktor naczelnny *Cracovia-Leopolis*, a tuż po Nim – Janusz Radko, cichy i bardzo skromny, ale jakże uczynny i pomocny w naszych działaniach. 30 sierpnia natomiast odszedł profesor Jerzy Kowalczyk – założyciel i pierwszy prezes (dwie kadencje od 1989 do 1996) naszego Oddziału, do samego końca bardzo aktywny i żywo interesujący się sprawami Towarzystwa.

Mimo wszystko jesteśmy pełni nadziei, że losy Towarzystwa nie są przesądzone i dane nam będzie kontynuować rozpoczęte przed 30 laty dzieło.



Grają „Promyki Krakowa”, śpiewa Miłosz Konarski

Ocalamy polskie mogiły i miejsca pamięci narodowej na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie

Korzystamy z funduszy zebranych na kwestach staraniem Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich i wsparcia Zarządu Głównego TMLiKPW we Wrocławiu.

Prace rozpoczęto w roku 1996 od porządkowania, czyszczenia z samosiejek – drzew i krzewów, wywożenia nagromadzonych od 1939 roku śmieci i nieczystości na poszczególnych kwaterach, zabezpieczania nagrobków i grobowców, ich otoczenia oraz zamykania otwartych mogił.

W latach 1996–2019 zabezpieczono i uporządkowano ponad 14 000 mogił, odremontowano 5 kaplic, groby żołnierzy Kościuszki, żołnierzy Napoleona i Pomnik Chwały Powstańców Listopadowych (sarkofag) oraz kwaterę Żelaznej Kompanii (10 grobów), mogiły Powstańców Styczniowych, a także dokonano renowacji i zabezpieczono ponad 540 zniszczonych mogił.

Odremontowane kaplice:

- Mikulskich-Mołędzińskich
- Gnoińskich
- Freudów
- Gołąbów
- Neumanów.

Z trudem odnaleziono groby żołnierzy Tadeusza Kościuszki, które uratowano od zniszczenia. Są to mogiły gen. Benedykta Kołyszki (1750–1834) – dowódcy powstania na Podolu, sąsiadujące ze sobą mogiły przyjaciół, którzy po upadku insurekcji zamieszkali razem, Franciszka Zaremby, który zmarł przeżywszy 112 lat, oraz Antoniego Pióreckiego. Odremontowanych zostało też 6 grobów żołnierzy Napoleona, z których na specjalną uwagę zasługują nagrobek rotmistrza Józefa Sas-Czułowskiego (1776–1863). W czasie szturm w wą-

wozie Somosierra kula armatnia zerwała mu z głowy ułańskie czako, którego wyobrażenie wieńczy jego nagrobek. Dużym osiągnięciem było odnowienie 10 grobowców i nagrobków na kwaterze powstańców 1830–31, Żelaznej Kompanii nazwanej tak od mogił ziemnych z 37 żelaznymi krzyżami. Kapitalny remont symbolicznego, w kształcie sarkofagu, Pomnika Chwały dłuta Henryka Periera, przywrócił należyty wygląd całej kwatery. Odtworzono tam wejście, układając krawężniki i kostkę brukową. Wyremontowaliśmy wszystkie – dziesięć – znajdujących się tam grobowców i nagrobków: I rząd – Bogusława Longchamps de Bériera (1808–1880), Ludwika Juliana Skolimowskiego (1813–1888), Hieronima Kunaszewskiego z Kunaszowa (1806–1885), Maksymiliana Kunaszewicza z Kunaszowa (1782–1812); II rząd – Jana Granatowskiego (1811–1891), Rawicza Ignacego Jasień-



Grób rotmistrza Józefa Czuluwskiego, żołnierza napoleońskiego, uczestnika bitwy pod Somosierrą. Stan grobu przed i po renowacji

Grobowiec rodziny Bernarda Poloneckiego,
znanego lwowskiego księgarza.
Stan przed i po renowacji

skiego (1813–1887), ułana II pułku; III rząd – Jana Kantego Czerczyka (1811–1899), porucznika z Legii Nadwiślańskiej, Leliwy Rafała Nieżeńskiego (1813–1891), oficera strzelców konnych, Kawalera V.M., Jana Pfeifera (1811–1883), ułana 2. pułku, Józefa Łodzian Czarnieckiego (1800–1897).

Na Górcie Powstańczej wyremontowano pomnik porucznika Gustawa Fiszera, znanego aktora, a poza nią 53 groby powstańców z 1863 roku, z których wyróżniają się: grób dowódcy powstania w lubelskim i sieradzkim, generała Michała Heidenreicha Kruka (w bitwie pod Żyrzyną, w której dowodził, zdobyto armaty i inną broń palną oraz kasę z 400 000 rubli), marmurowy nagrobek-obelisk majora Roberta Thime (wyróżnia się płaskorzeźbą powstańczego szlaku bojowego), grobowiec Wierzbickich, w którym spoczywa kapitan Rencjan Wierzbicki, kawaler orderu VM, po kapitalnym remoncie i obetonowaniu odzyskał pierwotny wygląd.

Na 72. polu, w miejscu śmierci 14-letniego Jurka Bitschana, odnowiliśmy symboliczny nagrobek.

Nie sposób w tym miejscu wymienić wszystkie groby żołnierzy walk z Ukraińcami i wojny polsko-bolszewickiej (Polskie Termopile pod Zadwórzem). Pod stertą śmie-



ci na Górcie Powstańczej odnaleziono i odnowiono nagrobek majora K.O.P., zastępcy dowódcy lwowskiego AK, pułkownika Jana Bogdanowicza Galinowskiego. Konspiracyjny pogrzeb odbył się w 1943 roku. Odnowione zostały, często z ruin, groby żołnierzy, naukowców, artystów, aktorów i zasłużonych lwowian (m.in. prezydentów miasta Michała Gnoińskiego i Karola Eple-



Pomnik Chwały na kwaterze Żelaznej Kompanii, powstańców z 1830 r., obok dokumentacja zniszczeń pomnika przed renowacją

Rafał Leliwa Mierzyński (1805–1891),
oficer kawalerii, powstaniec 1830 roku,
kwatery Żelaznej Kompanii



Grób por. Jana Karłego Czerczyka
(1811–1899), powstańca z 1830
roku, kwatery Żelaznej Kompanii



ra). Odnawiane groby, remontowane całymi rzędami, zwieńczone symbolami polskości, niech się staną symbolem prawdy historycznej, świadectwem polskości cmentarzy i Lwowa. Tej prawdy nie zastąpią wtłoczone przed polskimi grobami i pomiędzy nimi groby bolszewickie i ukraińskie. Pomimo muzealnego statusu Cmentarza Łyczakowskiego niszczone i zawłaszczane są nasze groby. Przed wejściem na Cmentarz Obrońców Lwowa wybudowano Mauzoleum

Strzelców Siczowych w miejscu zniszczonych spychaczami kilkuset polskich grobów. O żadnej ekshumacji nikt nawet nie pomyślał. Stoki Górki Powstańczej zajmowane są przez szpetne groby nowobogackich i osobno członków UPA. Pomimo tego Cmentarz Łyczakowski jest polski i takim pozostanie, jeśli będziemy o nim pamiętać.

Stanisław Czerny

p.o. prezesa Oddziału Krakowskiego
TMLiKPW

Przeprowadzone prace porządkowe i renowacyjno-remontowe grobów na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie przez Krakowski Oddział TMLiKPW w latach 1999–2019

Rok	Prace porządkowe i renowacyjno-porządkowe				
	Uporządkowanie terenu wokół grobów (liczba grobów)	Koszt w zł	Liczba grobów po renowacji	Koszt w zł	Razem koszt w zł
Do 1999	4865	69 000	11		69 000
2000–2003	1501	60 400	3	12 500	72 900
2004	1588	25 400	4	5600	31 000
2005	1697	27 150	4	4400	31 550
2006	942	5080	4	6550	11 630
2007	1835	27 500	7	10 300	37 800
2008	1660	16 600	22	22 050	38 650
2009	–	–	14	70 210	70 210
2010	–	–	41	67 300	67 300
2011	–	–	35	61 100	61 100
2012	–	5000	51	77 800	82 800
2013	–	–	16	55 300	55 300
2014	–	–	46	52 600	52 600
2015	–	5000	63	47 100	52 100
2016	–	–	82	61 400	61 400
2017	–	5000	52	71 900	76 900
2018	–	–	51	62 500	62 500
2019	–	–	40	43 900	43 900
Ogółem	14 088	246 130	546	732 510	978 640

Anna Stengl

SPOTKANIA CZŁONKÓW I SYMPATYKÓW TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH W KLUBIE DZIENNIKARZY „POD GRUSZKĄ”

W ubiegłym pięcioleciu comiesięczne spotkania odbywały się w Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką” w pięknej Sali Fontany (od czerwca 2017 roku decyzją Prezydenta Miasta Krakowa Jacka Majchrowskiego Klub został przekazany Bibliotece Kraków, której Dyrektorem jest dr Stanisław Dziedzic, a gospodarzem Klubu jest Janusz Paluch, Kierownik Działu Wydawnictw i Animacji w tejże Bibliotece; Kierownikiem Klubu jest niezwykle nam przyjazna i pomocna Grażyna Potoczek).

Spotykaliśmy się, jak tradycja nakazuje, w każdy pierwszy wtorek miesiąca, a zapraszani goście to najczęściej osoby bezpośrednio lub pośrednio związane ze Lwowem i Kresami.

Spotkania są urozmaicone, bowiem dotyczą one opowieści o znanych ludziach, prezentacji nowo wydanych książek, ale są to także filmy, relacje, programy muzyczne, wspomnienia. Staramy się pamiętać o tych, którzy odeszli, a pochodzą z naszych stron i odegrali ważną rolę dla polskiej kultury, nauki, sztuki, sportu i innych dziedzin.

Okres ostatnich pięciu lat był czasem niezwykłym, bowiem było u nas wielu interesujących prelegentów i wiele sympatycznych zdarzeń. Ale... Z jednej strony nasze zebrania przyciągają coraz więcej słuchaczy, przychodzą także ludzie spoza naszego środowiska, z drugiej strony, ze zrozumiałych względów, z racji wieku i stanu zdrowia poszczególnych Członków, trochę nas mniej. Stało się to zauważalne szczególnie w ostatnim roku.

Tematyka spotkań jest różnorodna. Spotkania z autorami książek – w minionym czasie swoją twórczość prezentowali: Jacek Nikorowicz: *Kobiety Stowarzyszenia Absolwentów Uniwersytetu Jagiellońskiego*; Paweł Daniel Zalewski (wnuk znanego cukiernika we Lwowie): *Bez pamięci*; Bogdan Stanisław Kaspróvicz: *Chaczkar* oraz *My Ormianie Polscy*; Maria Wilczek-Krupa: *Kilar. Geniusz o dwóch twarzach*; Robert Nowakowski: *Człowiek z sową*; Natalia Tarkowska: *Lecznica narodu. Kulturotwórcza rola Zakładu Przyrodoleczniczego Doktora Apolinarego Tarnawskiego w Kosowie na*



Sala Klubu Dziennikarzy „Pod Gruszką” Biblioteki Kraków w pierwszy wtorek miesiąca zawsze jest wypełniona (fot. Grażyna Potoczek)



Dr Anna Stengl zawsze ze swadą prowadzi spotkania krakowskich kresowiaków (fot. Grażyna Potoczek)

Pokuciu (1893–1939); Karolina Grodziska: *Zapomniani lwowscy dziennikarze – Jan Zahradnik i Michalina Grekowicz-Hausnerowa*; Wiesław Helak: *Nad Zbruczem*; Michał Piekarski (wnuk Remigiusza Węgrzynowicza): *Muzyka we Lwowie*; Tadeusz Saryusz-Bielski: *Wspomnienia Legionisty, kapitana artylerii konnej, uczestnika pięciu wojen* w prezentacji Andrzeja Drózdza, który tekst pamiętnika opracował. Niezwykle interesującym spotkaniem była prezentacja wspaniałego albumu, wydanego przez Muzeum Niepodległości, który ukazał się w 2017 roku: *Dziedzictwo i pamięć Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej*, pod redakcją Tadeusza Skoczka. Sala Fontany była wypełniona po brzegi.

Wieczory z filmem rozpoczął film przygotowany przez Ryszarda Kucałę: *Jubileuszowe obchody 25-lecia Towarzystwa Mitośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich*. Słuchaliśmy i oglądaliśmy *Missa pro pace*, kompozycję Wojciecha Kilara zamówioną przez Kazimierza Korda na stulecie Filharmonii Narodowej w Warszawie – koncert zarejestrowany w 2004 roku w Katedrze pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny we Lwowie. Niezwykle interesujący był film *Tort* autorstwa Małgorzaty Goździk, absolwentki Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, o Paniach Emilii i Zofii Fedyk i Ich trzydniowych „zmaganiach” z tortem orzechowym. Był pyszny!

Mieliśmy okazję obejrzeć film *Honor generała* i przebieg uroczystości z okazji 50. rocznicy śmierci Stanisława Sosabowskiego w Stanisławowie, z udziałem zespołu Pro-

myki Krakowa pod dykcją Romy Doniec-Krzemieniowej. Z przedwojennym Stanisławem i jego mieszkańcami związany jest film *Tam był mi raj. Opowieść o Stanisławowie* autorstwa Sławomira Krasnodębskiego przy współpracy Eugeniusza Sała z „Kuriera Galicyjskiego”. I trochę wspomnień: filmy o Gwidonie Boruckim, Henryku Warsie, Witoldzie Szolginii.

Mieliśmy także okazję obejrzeć wspaniały film dokumentalny, który zaprezentowała Zofia Ciechanowska z Wrocławia, córka lwowskich, a później wrocławskich architektów. Jest to filmowa relacja o powstaniu i losach Plastycznej Panoramy Dawnego Lwowa Janusza Witwickiego, znajdującej się obecnie w Hali Stulecia we Wrocławiu.

A muzycznie? Wielokrotne występy zespołu „Promyki Krakowa” pod dykcją Romy Krzemieniowej. Jesteśmy pełni podziwu i wdzięczności dla Jej działalności i umiejętne przekazywanie młodzieży wartości patriotycznych i pamięci o naszych Kresach; Musical *Lwów semper fidelis* w wykonaniu zespołu Teatru im. Juliusza Osterwy w Lublinie; spektakl *Sen o Lwowie* w wykonaniu Baletu Cracovia Danza oraz Teatru Piosenki.

Tematy wszystkich spotkań są interesujące, ale są też szczególne, które mówią więcej. Mam na myśli m.in. uroczyste spotkanie, które przygotował Bogdan S. Kasprowicz. Nie tak dawno Instytut Lwowski, niezmiennie kierowany przez Janusza Wasylkowskiego, przy współpracy Bogdana Kasprowicza, obchodził 25-lecie swego istnienia i co ważniejsze swęj wspaniałęj działalności. Ową działalność zilustrowały piękne plansze, które obrazują historię Instytutu, jego działalność artystyczną, publikacje, w tym *Roczniki Lwowskie*. Z jubileuszem 25-lecia związane jest wzruszające wydarzenie, którego byliśmy świadkami. Andrzej Chlipalski otrzymał medal 25-lecia Instytutu Lwowskiego za zasługi w utrwalaaniu pamięci Lwowa i jego kultury. Ze względu na nieobecność Pana Andrzeja medal został przekazany Jego wnukowi, Tadeuszowi Chlipalskiemu.

Kolejne spotkanie, o którym warto wspomnieć, to opowieść Sławomira Zachariewicza, prawnuka Juliana Oktawiana Zacha-

riewicza, o pradziadku, jednym z najwybitniejszych lwowskich architektów. Relacja prawnuka poprowadziła nas przez życie rodziny Zachariewiczów, twórczość Juliana. Mogliśmy „uczestniczyć” w poszukiwaniach, jakie podjął prawnuk szukając śladów swego przodka.

Interesujące spotkanie „podaował” nam Adam Redzik – historyk i prawnik, profesor z Uniwersytetu Warszawskiego – opowiadając o Emanuelu Schlechterze, lwowiaku wielu talentów, m.in. twórcy tekstów piosenek, satyryku, kompozytorze, wokaliście. Prelekcja była przeplatana obrazami dawnego Lwowa, zdjęciami artystów, fragmentami piosenek... Było pięknie!

Niezwykłym naszym gościem był ks. Jan Nowak – postulator w procesie beatyfikacyjnym Czcigodnego Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego. Dzięki tej prelekcji poznaliśmy drogę procesu, uwieńczoną beatyfikacją, która odbyła się 11 września 2016 roku w Karagandzie – mieście, w którym pełnił swą posługę duszpasterską w czasach Związku Radzieckiego. Tam został pochowany.

Kilkakrotnie gościliśmy Sławomira Dorockiego i Pawła Brzegowego z Zakładu Geografii Uniwersytetu Pedagogicznego im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie, którzy przedstawili m. in. takie prelekcje, jak: *Non omnis moriar – o uczonych lwowskich uczelni, spoczywających na najstarszej nekropolii Lwowa – Cmentarzu Łyczakowskim, Władcy międzywojennego Lwowa. Wzloty i upadki wielkich tamtego świata, Wielkie zbrodnie międzywojennego Lwowa, Luna Drexlerówna w służbie sztuki i antropozofii.*

Dzięki Panu Jackowi Nikorowiczowi 170 lat od powstania chorału *Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej...* mieliśmy możliwość usłyszeć o historii tego pięknego utworu skomponowanego przez Józefa Nikorowicza do słów Kornela Ujejskiego, a Krzysztof Rzonca opowiedział o *Legionach w Karpatach.*

Wspaniałym spotkaniem, które odbyło się przed świętami Wielkiej Nocy, była opowieść Krystyny Słoczyńskiej *Wielki Tydzień w Jeruzolimie.* Dzięki temu znaleźliśmy się bliżej tajemnicy i miejsc Zmartwychwstania Pańskiego.

W okolicy dat urodzin lub śmierci ważnych dla nas osób czciliśmy ich pamięć

dzięki ekranizacji fragmentów z ich życia: Janiny Zamojskiej – wielkiej patriotki, do końca swoich dni mieszkającej i działającej we Lwowie, Adama Hanuszkiewicza – legendarnego reżysera i aktora, Wojciecha Kilara – wybitnego kompozytora, Stanisława Vincenza, wielkiego humanisty XX wieku – miłośnika i znawcy Huculszczyzny i Pokucia, Marka Eminowicza – historyka, wybitnego pedagoga, a przede wszystkim patrioty. Wszyscy pochodzili z naszych stron bądź byli z nimi związani.

1 listopada szczególnie myślimy o tych, których nie ma już z nami. 5 listopada w 2017 roku przeżywaliśmy Lwowskie Zaduszki, wspominając naszych członków, uczestników wtorkowych spotkań, którzy zmarli na przestrzeni ostatnich 10 lat. Było nostalgicznie, wzruszająco...

Spotkanie styczniowe w bieżącym roku poświęciliśmy pamięci Dzidki Stopczyńskiej, która po ciężkiej chorobie zmarła 16 listopada 2018 roku. Zwykle w styczniu odbywały się nasze oplatki, które pięknie przygotowywała Dzidka. Dlatego „zaprośiliśmy” Ją we wspomnieniach na nasze styczniowe spotkanie.

Na koniec pozwolę sobie na pewną refleksję. Zaproszenia na nasze spotkania chętnie przyjmują prelegenci, którzy są potomkami lwowian – choćby w ostatnim roku: Sławomir Zachariewicz (prawnuk czołowego architekta Lwowa Juliana Oktawiana Zachariewicza), Michał Piekarski (wnuk profesora medycyny weterynaryjnej Remigiusza Węgrzynowicza) i Jerzy Kapłon który wspominał Lwów swoich dziadków i rodziców.

Pragnę także podkreślić, że tradycja „Lwowskie Bale w Krakowie” trwa, aczkolwiek zmieniliśmy „lokal”. Do 2017 roku bawiliśmy się w Sali Fontany. Po przeprowadzeniu prac konserwatorskich charakter Sali nieco się zmienił i... Co teraz będzie? I tutaj przyszła nam z pomocą Roma Krzemienio-wa. Zaprosiła nas do siebie, do swojej „Piwnicy na Strychu”, i tam odbywają się dopiero wspaniałe Lwowskie Bale. Czterometrowe drzewko, pięknie przystrojone, stoły, obrusy, kanapy i przede wszystkim Lwów. Śpiewamy, tańczymy, jest nam wesoło i prawdziwie po lwowsku. Dziękujemy Romeczko!

Jednego roku odbył się też bal w zielonym karnawale, wtedy to sala Fontany przeobraziła się w ogród pełen kwiatów!

KOŁO STANISŁAWOWIAN, czy piąte koło u wozu... historii?

Rok 1989 przejdzie do historii nie tylko Polski, czego nam ani nawet potomnym nie trzeba wyjaśniać. Ale historia to nie tylko wielkie wydarzenia i wielkie nazwiska, to także, a może nawet przede wszystkim, sposób, w jaki społeczności, grupy lub tzw. „szary obywatel” utrwalają w niej swój ślad.

Dla nas, stanisławowian, ten rok dał początek działalności naszego Koła, którego legalne istnienie umożliwił właśnie ten wielki „wiatr historii” 1989 roku,

Wielu z nas odnalazło się po latach, wielu spotkało się po raz pierwszy. Połączyło nas wielkie uczucie do tego miasta, tak bardzo właściwa człowiekowi miłość do rodzinnej ziemi, wspólnie dzielony los wygnańca, bo ziemię tę musieliśmy, a nie chcieli opuścić, połączyła nas także chęć utrwalenia tego, co przemija wraz z tamtą epoką i zwrócenie należnej rangi tym treściom, tematom, miejscom, o których przez kilkadziesiąt lat nie wolno nam było mówić, wreszcie połączyła

nas chęć utrwalenia pamięci wspaniałych ludzi, naszych wychowawców, przyjaciół, bliskich, którzy tam zostali straceni.

Spotkanie założycielskie odbyło się 28 listopada 1989 roku. Prezesem Koła od momentu jego powstania nieprzerwanie do chwili obecnej jest **Krystyna Stafińska**.

Czym na pewno nie jest nasze Koło?

Nie jest towarzystwem wzajemnej adoracji, choć nie ulega wątpliwości, że nici serdecznej przyjaźni, sympatii, a choćby i życzliwości łączą nas wszystkich.

Nie jesteśmy korporacją dawnych właścicieli różnych dóbr tam na Wschodzie, chcących te dobra odzyskać, choć niewątpliwie do bolesnych strat osobowych wielu z nas dodać może niebagatelne straty materialne. Nie jesteśmy zamkniętym klubem, choć poza miejscem urodzenia decydującym jest uznanie pewnych wartości, w jakich zostaliśmy wychowani i którym bliskie jest dziedzictwo



Zaleszczyki, sierpień 2010 r. Wycieczka Koła Stanisławowian na Kresy (fot. Krystyna Stafińska)

Stanisławów, dworzec kolejowy wybudowany w 1866 r. w stylu mauretańskim, przebudowany w roku 1904 w stylu modernistycznego renesansu (fot. Krystyna Stafińska)

historyczne i kulturalne tych Ziemi. Nie jesteśmy wreszcie związkiem złączonym nienawiścią przeciw tym, którzy zajęli nasze miejsca, weszli do naszych domów, szkół, urzędów, świątyń, choć zdecydowanie protestujemy przeciw profanacji miejsc kultu, cmentarzy, dewastacji przyrody, a ślad polskiej obecności na tych ziemiach m.in. dorobku kultury i tradycji chcemy upowszechnić i utwalić.

A więc nostalgia, a więc przeszłość? Tak, ale nie tylko.

Nieobce są nam sprawy i życie współczesne naszego rodzinnego miasta Stanisławowa i innych Ziemi Południowo-Wschodnich.

Jak działamy? Co zrobiliśmy w okresie trzydziestu lat istnienia?

Wytyczyliśmy, a może jako Koło „wytoczyliśmy” priorytety działania, przede wszystkim związane ze skutkami II wojny światowej.

- Ważną sprawą było zainteresowanie naszych władz miejscem straceń w 1941 roku elity polskiej inteligencji ze Stanisławowa i okolic przez hitlerowskich oprawców w miejscowości Pawełcze, około 10 km od Stanisławowa, w tzw. Czarnym Lesie. Uważaliśmy za swój patriotyczny obowiązek uhonorowanie ofiar zbrodni przez wzniesienie na miejscu kaźni pomnika i utworzenie Cmentarza Ofiar Wojny z prawnym statusem nekropolii. W tym celu wystosowaliśmy wiele pism do Senatu RP o instytucjonalne poparcie naszych działań, przede wszystkim przez zobowiązanie placówki konsularnej we Lwowie do współdziałania z projektodawcami, głównie zaś do załatwienia wszelkich spraw z miejskimi i wojewódzkimi władzami Stanisławowa celem uzyskania niezbędnej pomocy do realizacji naszych zamierzeń. Nawiązaliśmy współpracę z nieliczną polską społecznością w Stanisławowie i przy sfinansowaniu projektu przez Radę Ochrony Pamięci Walk

Stanisławów, rzymskokatolicki Kościół Chrystusa Króla – widok współczesny (fot. z archiwum autorki)





i Męczeństwa (ROPWiM) z Warszawy i bezinteresownej pomocy pracowników Energopolu, będących tam na kontrakcie z siedzibą w Bohorodczanach (ok. 17 km od Stanisławowa), udało się fizycznie i moralnie zrealizować zadanie. Cmentarz w Czarnym Lesie teoretycznie podlega opiece lokalnej administracji, ale faktycznie ofiarnie zajmują się nim członkowie miejscowego Towarzystwa Kultury Polskiej „Przyjaźń”, z którymi współpracujemy od ponad ćwierćwiecza, nieco wspierając finansowo ich starania w utrzymaniu tej nekropolii.

- Największym i najstarszym cmentarzem na kresowych ziemiach II RP był komunalny cmentarz w Stanisławowie, od nazwy ulicy zwany „Sapieżyńskim”. Założony w 1782 roku, był miejscem pochówku nie tylko mieszkańców miasta, ale także wielu emigrantów, uczestników walk o niepodległość Polski od czasów insurekcji kościuszkowskiej aż po wiek XX, a także miejscem patriotycznych manifestacji polskiego społeczeństwa. W latach 70. wieku XX władze sowieckie rozpoczęły sukcesywną likwidację nekropolii, która definitywnie nastąpiła w 1980 roku. Buldożerami zniszczono nagrobki elity intelektualnej i samorządowej miasta,

a także kwatery powstańców listopadowych, styczniowych i polskich legionistów. Miejsce to zamieniono na park, a część cmentarza wykorzystano pod budowę hotelu i gmachu Teatru Dramatycznego. Było to jawne rugowanie polskości i wytrzebianie z ludzkiej pamięci wszystkich wcześniejszych obrazów jego polskiej historii.

Podjęliśmy intensywne działania, aby przynajmniej postawić pomnik – symboliczny nagrobek wszystkich tam pochowanych przez okres 200 lat.

I znowu nasze Koło było „zaczynem”, a dokonanie celu stało się możliwe dzięki pomocy finansowej ROPWiM i niezawodnej, bezinteresownej pracy Energopolu, a potem stałej opiece członków TKP „Przyjaźń”.

- Kościół pw. Chrystusa Króla, którego budowę zakończono i konsekrowano przed wybuchem II wojny światowej, po jej zakończeniu został zamieniony na magazyn szkła i porcelany, straszły wybitymi szybami i zniszczonym dachem, a w całym budynku niepodzielnie gospodarzyły szczury. Dzięki usilnym, wieloletnim staraniom (w Moskwie, Kijowie i Lwowie) oddany Polakom i poświęcony 24 czerwca 1989 roku, został podniesiony z ruiny przez miejscową ludność i ofiarną wspomnianą już załogę Energopolu na czele z jej kierownikiem inż. Henrykiem Kołasą z Krakowa (honorowym członkiem naszego Koła). Ale kościół był pusty i miał zasadnicze potrzeby. M.in. z naszej inspiracji przekazano z krakowskiego kościoła oo. Bonifratrów dwa boczne ołtarze, a poza tym z innych miejsc: tabernakulum (z Gdańska), kadzielnicę, lichtarze, dzwonię, krzyż procesyjny – dar oo. Cystersów z Mogiły (Nowa Huta), tzw. wieczne świece, haftowany obrus, dewocjonalia – dar naszego Koła oraz dar ks. Miterki z Ochotnicy Górnej – ławki i konfesjonał. Wszystko dostarczone przez krakowski oddział Energopolu. Przy każdej bytności w Stanisławowie parafię wspierano finansowo. Z inicjatywy naszego Koła w bocznej nawie kościoła powstał Ołtarz Pamięci Narodowej, gdzie umieściliśmy mosiężne tabliczki z wygrawerowanymi

nazwiskami naszych bliskich pomordowanych w Czarnym Lesie. Potem sukcesywnie uzupełnianych.

- Po politycznym otwarciu granicy (24 VIII 1991 r.) Koło „rozwinęło skrzydła” i zorganizowano dwadzieścia sześć (prawie corocznie) wycieczko-pielgrzymek autokarowych. Nie sposób w krótkim z konieczności szkicu zawrzeć bogactwo przeżyć, wzruszeń, jakie były udziałem uczestników wyjazdów obejmujących programem Podole, Pokucie, Huculszczyznę, Zakarpacie, Wołyń, a szczególnie Lwów i oczywiście Stanisławów, był to prawdziwy powrót do krainy dzieciństwa i młodości, do arkadii utraconej... Ale też smutne ślady dewastacji tych ziem, zrujnowane kościoły, podupadłe stylowe domy, dworki, zacierane ślady polskości, rzucające się w oczy ogólne zaniedbanie, a w tym wszystkim krajobrazy jakże swojskie, jakże sercu bliskie...

Nasze wycieczki trwające przeważnie 10–12 dni były intensywnie wypełnione programem, w którym zwiedzanie zabytków architektury, obiektów sakralnych, zabytkowych miejsc „obrosłych” historią sławnych bitew, fascynujących miejsc pod względem osobliwości przyrodniczych przeplatano udziałem w patriotycznych, rocznicowych uroczystościach, a także spotkaniach integracyjnych z miejscową polską społecznością. Dla młodszych pokoleń, niejednokrotnie towarzyszącego rodzicom czy dziadkom, były to niewątpliwie pokazowe lekcje. Przez wiele lat zafalszowywania historii nasi młodzi ludzie w wielu wypadkach nawet nie zdawali sobie sprawy, jak wielkiego dziedzictwa kulturowego zostali pozbawieni.

- A w Krakowie... Członkowie Koła (Klubu wg statutu) spotykają się raz w miesiącu (zawsze w trzeci wtorek), z przerwą wakacyjną w lipcu i sierpniu. Początkowo Koło liczyło ponad 50 członków, w ciągu minionych lat czas zrobił swoje i obecnie aktywnych członków to 20 osób. Z kilkoma, ze względu na ich zaawansowany wiek i trudności mobilne, pozostajemy w kontakcie telefonicznym.



Stanisławów, Ołtarz Pamięci Narodowej w Kościele Chrystusa Króla (1996, fot. Krystyna Stafrńska)

Miejsce spotkań zmieniało się niezależnie od nas.

Od listopada 1989 do czerwca 1993 – w budynku PAX-u przy ul. Garbarskiej 9 nieodpłatnie. Od września 1993 do czerwca 2003 – nieodpłatnie dzięki przyzwoleniu dyrektora doc. Wiesława Krzemińskiego w Muzeum Przyrodniczym Instytutu Systematyki i Ewolucji Zwierząt, przy ul. św. Sebastiana 9. W okresie od września 2003 do czerwca 2015 – w budynku NOT-u przy ul. Straszewskiego 27 – odpłatnie, z każdym rokiem z powiększającą się kwotą. Od września 2015 do chwili obecnej – nieodpłatnie dzięki życzliwości dyrektora Jerzego Kapłona w Centralnym Ośrodku Turystyki Górskiej, ul. Jagiellońska 6.

- Od samego początku traktowaliśmy spotkania Koła jako okazję do edukacji, do zdobywania wiedzy o historii, kulturze i tradycji miasta i regionu, w sympatycznej, przyjacielskiej atmosferze przy „herbatce”, i tej zasady trzymamy się do dzisiaj. Podczas spotkań wysłuchaliśmy wspomnień członków Koła w seryjnych



Stanisławów, ul. Bilińskiego, siedziba rosyjskiego NKWD i niemieckiego gestapo, tablica poświęcona ofiarom terroru (fot. Krystyna Staffińska)

pamięci naszym najbliższym poległym, zamęczonym i pomordowanym.

- Brałszy udział we współtworzeniu wystaw o tematyce kresowej organizowanych przez krakowski Oddział TMLiKPW we współpracy z Muzeum Historii Fotografii, Stowarzyszeniem „Wspólnota Polska”, z Komisją Turystyki Górskiej ZG PTTK, Biblioteką Jagiellońską, Muzeum Historycznym m. Krakowa i Muzeum Przyrodniczym Inst. Syst. i Ewolucji Zwierząt PAN.
- Gościliśmy w Krakowie ze zwiedzaniem miasta, ale też Wieliczki i Częstochowy 30-osobową grupę młodzieży (11–19 lat) oraz 25- i 40-osobowe grupy dorosłych ze Stanisławowa, co było możliwe dzięki rzeczowej i finansowej pomocy wielu osób prywatnych, ale też różnych instytucji, do których zwróciliśmy się.

cyklach tematycznych *Stanisławów w mojej pamięci*, ale też gościliśmy osoby znane ze swoich osiągnięć i działalności naukowej, kulturalnej, artystycznej, pisarskiej (promocja książek), często ilustrowanych przezroczami, którzy swoją wiedzą i talentem wspierali nasze starania o zachowanie w pamięci dziedzictwa tych ziem.

Oprócz spraw ogólnych i organizacyjnych wyrażaliśmy też nasze tęsknoty, bolesne wspomnienia, żałobne łzy, mając w pamięci całe orszaki ludzi wielkich, świętych kapłanów, ludzi sztuki, nauki, luminarzy nie tylko polskiej, ale i europejskiej kultury, których wydała nasza ziemia.

- Z naszej inicjatywy została wykonana i wmurowana nieodpłatnie tablica w Ołtarzu Pamięci Narodowej w krągankach Opactwa oo. Cystersów w Mogile, poświęcona ofiarom lat 1939–1945 z Ziemi Stanisławowskiej. Tablicę odsłonił 31 sierpnia 1998 r. Jego Emin. opat o. Salwiński. Odąd corocznie przed zbliżającym się Dniem Wszystkich Świętych spotykaliśmy się przy tym Ołtarzu, by wspólną modlitwą złożyć hołd i dowody

- Początkowo skoncentrowaliśmy się na rzeczowej i finansowej pomocy najbardziej potrzebującym rodakom w Stanisławowie, wiekowym, chorym i samotnym poprzez paczki żywnościowe i pomoc pieniężną. Dostarczaliśmy też leki posegregowane i opisane wg właściwości, pozyskiwane z krakowskiej Apteki Darów (niem. i franc.).

Teraz te osoby już odeszły, więc skupiamy się – w miarę naszych możliwości – na wspieraniu potrzeb w utrzymaniu Cmentarza Ofiar Wojny w Czarnym Lesie i okolicznościowych uroczystości w polskim środowisku.

- Utrzymywaliśmy bliskie kontakty z innymi środowiskami stanisławowian, zwłaszcza z Wrocławia i Warszawy, uczestnicząc w corocznych ogólnokrajowych spotkaniach we Wrocławiu w ostatnią niedzielę września – z konieczności jednodniowych.
- W pierwszej dekadzie września 2003 roku krakowskie Koło zorganizowało 3-dniowy Zjazd byłych mieszkańców Stanisławowa, w którym uczestniczyło

bez mała 200 osób z całej Polski, ale też goście z Anglii, Francji, Niemiec, Szwajcarii i przedstawiciele rodaków z obecnego Iwano-Frankiwka (czyli Stanisławowa). W programie uwzględniliśmy tematy istotne dla naszej społeczności, ale też nie zabrakło spotkań towarzyskich, „spacerów” we wspomnieniach ulicami naszego Grodu Rewery, jak też zwiedzania Krakowa (w tym Wawelu) z profesjonalnymi przewodnikami.

- W początkowych latach naszej działalności mieliśmy kontakty ze Światowym Związkiem Żołnierzy AK i Małopolskim Oddziałem Związku Piłsudczyków poprzez udział w kwietniu 1995 r. – miesiącu pamięci narodowej – w uroczystości odsłonięcia na Cmentarzu Rakowickim Pomnika Ofiar Komunizmu. W maju tegoż roku, w 60. rocznicę śmierci Marszałka Józefa Piłsudskiego, braliśmy udział w apelu poległych i złożeniu ziemi m.in. przywiezionej ze Stanisławowa pod kopcem Piłsudskiego w ramach II Ogólnopolskiego Zjazdu Piłsudczyków. A także poprzez uczestnictwo w corocznych patriotycznych obchodach *Pro memoria* na Cmentarzu Rakowickim 17 września w hołdzie ofiarom II wojny światowej, celebrowanych wraz z Towarzystwem Pamięci Narodowej im. Marszałka Piłsudskiego przy pomniku ofiar ludobójstwa ukraińskiego oraz przy rocznicowych manifestacjach przy Krzyżu Katyńskim na placu o. gen. Adama Studzińskiego. Corocznie też uczestniczymy w uroczystej mszy św. w Bazylice Mariackiej w dniu 22 listopada w intencji bohaterów Orląt Obrońców Lwowa (w 1992 r. przygotowaliśmy odczytaną w czasie mszy św. *Litanie stanisławowską*).

- Stanisławów był miastem wieloetnicznym i wielokulturowym, stąd też nasze kontakty z Towarzystwem

Ormian w Krakowie, ale też w Gdańsku, poprzez kult Matki Bożej Łaskawej z kościoła ormiańskiego w Stanisławowie. Oryginał Cudownego Obrazu MB Łaskawej znajduje się obecnie w gdańskim kościele św.św. Piotra i Pawła. Na zaproszenie ks. proboszcza prałata Cezarego Annusewicza – zarazem Kustosza Sanktuarium Maryjnego – dwudziestoosobową grupą uczestniczyliśmy w maju 1997 r. w uroczystości jubileuszu z okazji 60. rocznicy koronacji Cudownego Wizerunku. Uroczystościom przewodniczył JE ks. abp Tadeusz Gocłowski, Metropolita Gdański. Skromnymi datkami członków naszego Koła wspomagaliśmy budowę sanktuarium w bardzo zniszczonym przez działania wojenne kościele. Na naszych spotkaniach gościliśmy wybitne osoby o autentycznych korzeniach ormiańskich, m.in. prof. UJ Annę Krzysztofowicz, Marię Przybylską – aktorkę Teatru im. J. Słowackiego, która recytowała wyjątki jedenastowiecznej poezji religijnej Ormian, ks. kan. Tadeusza Isakowicza Zaleskiego oraz legendarnego prof. licealnego Marka Eminowicza.

- Braliśmy też udział w cyklicznych, otwartych posiedzeniach naukowych PAN, kiedy tematy z różnych dziedzin dotyczyły Stanisławowa. Dla przykładu w posie-



Kuty, nieistniejący już most wiszący, tzw. „Małpi” na Czermoszu, dawna granica między Rzeczpospolitą Polską i Rumunią (fot. Krystyna Stafińska)



dzeniu Komisji Urbanistyki i Architektury Oddz. w Krakowie na temat *Przestrzennego rozplanowania Stanisławowa* czy dotyczących sensoryjnego znaleziska (23 X 1929 r.) – zachowanego w całości nosorożca włochatego w Starunii, ok. 30 km od Stanisławowa. Znaleźisko, na podstawie badań metodą C14 datowane na 30 tysięcy lat, jak do tej pory jest jedynym takim na świecie.

- W ostatnich 6 latach nawiązaliśmy kontakt z organizacją o charakterze kombatanckim, okazało się bowiem, że wśród członków tego Stowarzyszenia są również osoby o kresowych korzeniach, czynnie walczących o wolną i niepodległą Polskę w kampanii wrześniowej też na ziemiach wschodnich. Uczestniczyliśmy w 3–4-dniowych zlotach organizowanych corocznie przez zmieniające się Oddziały Stowarzyszenia, np. w Warszawie, Białymstoku, ale też z naszym udziałem w Krakowie. W programach przeważnie uwzględniano miejsca stygmatyzowane martyrologią Polaków, nie pomijając wszakże godnych zwiedzenia obiektów na eksponowanym terenie.
- We wrześniu 1995 r., z inicjatywy ówczesnego wiceprezesa TMLiKPW, red. naczelnego Andrzeja Chlipalskiego,

krakowski Oddział zaczął wydawać popularno-historyczne czasopismo „Cracovia-Leopolis”. W skład redakcji od pierwszego numeru weszła przewodnicząca krakowskiego Koła Stanisławowian i do tej pory dba, aby Stanisławów, który od 1962 r. w swojej historycznej nazwie sukcesywnie znika ze współczesnych map, był obecny na łamach pisma i nie rozplynął się we mgłę niepamięci. Byśmy w szarej codzienności naszego życia nie zaprzepaścili i nie roztrwonili tego, co dla pamięci o naszym mieście najbardziej wartościowe – jego historii, kultury i tradycji.

- Za efektywną, długoletnią działalność, za szczególne osiągnięcia w realizowaniu założonych projektów w trudnych warunkach zasłużeńi członkowie Koła otrzymali państwowe i honorowe odznaczenia, a także złote i jubileuszowe odznaki naszego Towarzystwa.

Co zamierzamy dalej?

- Utrzymywać stały związek z tamtymi stronami, współpracować z polskim środowiskiem w Stanisławowie i w miarę możliwości udzielać okazjonalnej pomocy.
- Chronić, ratować i pielęgnować pamiętki przeszłości.
- Kontynuować nasze krakowskie spotkania, póki starczy sił i zdrowia, uparcie przypominać i upowszechniać wiedzę o polskim dziedzictwie tych ziem utraconych. Te miasta, zabytki, krajobrazy i bogactwa naturalne, z drugiej strony ludzi i ważniejsze wydarzenia rodakom przypominać, a tym, którzy ich nie znają, wyjaśniać – lecząc „chorą pamięć” wskutek wieloletniego zafałszowywania prawdy historycznej – jakie naprawdę dziedzictwo utraciliśmy.

Możemy mieć nadzieję, że Stanisławów nie pozostanie żywy tylko w naszej pamięci i nie zginie. A „naszemu” miastu życzyć, by pamiętało, szanowało i doceniło polską spuściznę. Aby rozwijając się, Stanisławów pozostał miastem, którego życie zaowocuje prawdziwym dobrem. Niech będzie takim dziś, ale także w przyszłości.

Anna Madej

Klub Tarnopolan

W ostatnim pięcioleciu grono członków Klubu Tarnopolan znacznie się zmieniło. Jest nas dalej piętnaścioro, ale ponieważ zakończył działalność Klub Zaleszczykowień, dwie panie przeniosły się do naszego Klubu (jako że to to samo województwo). Cztery osoby, które bardzo aktywnie działały, zmarły. Mamy młode małżeństwo, które pomaga w najważniejszych sprawach, ale ze względu na pracę i dzieci przychodzi na nasze spotkania dość sporadycznie. Są też osoby, którym stan zdrowia nie pozwala wychodzić z domu przy niesprzyjającej pogodzie. Jesteśmy jednak z nimi w kontakcie.

W dalszym ciągu miejscem naszych comiesięcznych spotkań jest dom katechetycz-

ny przy parafii św. Floriana, gdzie duchową opieką otacza nas ks. Marcin Cholewa, który dzięki nam poznaje sprawy kresowe, a my dzięki jego publikacjom (np. *Rozważania o Modlitwie Pańskiej* czy *Rozważania o modlitwie Zdrowaś Maryjo*) z lepszym zrozumieniem odmawiamy te modlitwy.

Nasze spotkania też zmieniły swój charakter. Dla kilku osób trudno zapraszać jakiegось prelegenta. Rozmawiamy więc na tematy kresowe we własnym gronie. Przy herbatce dzielimy się wiadomościami z Kresów, dyskutujemy na temat przeczytanych książek o tematyce kresowej, czy wymieniamy nimi. Zdarza się, że gościmy kogoś z Tarnopola. Jest już tradycją, że co roku w okresie ferii zimowych spotykamy się z harcerzami



Kościół Matki Boskiej Nieustającej Pomocy w Tarnopolu



Pomnik Piłsudskiego, Tarnopol

starszym łatwiej dotrzeć do nieodległego miejsca. Krakowskie Koło zorganizowało kilka takich zjazdów, cieszyły się one dużym uznaniem, szczególnie te w Krzeszowicach (trzykrotnie), a warunki pobytu i atmosfera w Misjonarskim Ośrodku Formacyjnym „Vincentinum” były wspaniałe. Ostatni zjazd organizowany przez nasze Koło odbył się w 2017 r. w samym Krakowie, ale Kraków ze względu na moc atrakcji turystycznych mocno rozprasza zjazdowiczów, dlatego lepszym miejscem na spotkania są małe miejscowości. Krakowski XXXI Zjazd zorganizowało nasze młode małżeństwo, co wszyscy chwalili i podziwiali, jako że zrobili to bardzo dobrze, z kresowym wyczuciem, ale wnosząc też powiew świeżości.

Dzięki zjazdom więzy pomiędzy ludźmi mającymi swe korzenie na Ziemi Tarnopolskiej zacieśniają się. Tworzymy rzeczywiście rodzinę tarnopolską, dzwonimy do siebie, piszemy, same zjazdy już nam nie wystarczają. I nie są to tylko kontakty pomiędzy poszczególnymi Kołami, ale przede wszystkim indywidualne przyjaźnie, które zrodziły się podczas tych zjazdów.

Jeszcze jedna sprawa była do niedawna priorytetem w naszej działalności. Mianowicie ratowanie polskich grobów na cmentarzu tarnopolskim. Uporządkowaliśmy kwaterę oo. Jezuitów (wielce dla Tarnopola zasłużonych), a także kilka innych grobów. Jednak ponieważ ze strony Polskiego Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego w Tarnopolu nie było większego zainteresowania tą sprawą, przestaliśmy na indywidualnych kontaktach; jest w Tarnopolu kilka osób, które na naszą prośbę otaczają niektóre polskie groby opieką. Zaprzestaliśmy więc uczestniczenia w kwestiach na cmentarzach krakowskich (w ramach kwety na ratowanie Cmentarza Łyczakowskiego) na rzecz ratowania cmentarza w Tarnopolu. Nasi członkowie nadal jednak uczestniczą w tych kwestiach, ale już na rzecz Cmentarza Łyczakowskiego.

Ponieważ jest nas niewiele, więc często uczestniczymy w spotkaniach w Klubie „Pod Gruszką”, a także w wydarzeniach organizowanych przez Lwowian. Naturalną kolejną rzeczą ubywa członków TMLiKPW, więc też zwieramy szeregi i staramy się integrować ze wszystkimi Kresowianami.

z Żar i z młodymi ludźmi (są gośćmi Żaran), którzy dzięki druż. Mirosławowi Zengielowi przyjechali na harcerskie zimowisko z Tarnopola lub okolic. Od nich dowiadujemy się o tym, co ważnego dla środowiska polskiego w Tarnopolu wydarzyło się w ostatnim czasie. Wielu z tych młodych tarnopolan szlifuje swój język polski w szkole języka polskiego w Polskim Towarzystwie Kulturalno-Oświatowym Obwodu Tarnopolskiego. W szkole tej uczy się języka polskiego prawie 600 osób w różnym wieku. Są to oczywiście osoby z rodzin mieszanych, mających polskie korzenie, jak również Ukraińcy. Często wybierają oni studia w Polsce.

Mamy też kontakt z tarnopolską parafią i jej proboszczem ks. Andrzejem Maligiem, wspomagamy go finansowo, szczególnie przy organizacji św. Mikołaja dla dzieci. Corocznie spotykamy się z księdzem Andrzejem i z prezesem Polskiego Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego w Tarnopolu Piotrem Frizem podczas tradycyjnych Zjazdów Tarnopolan, które od dwóch lat zmieniły nazwę na Tarnopolskie Zjazdy Kresowian. Zjazdów tych było już 33. Odbývają się one w różnych miejscowościach Polski, ostatnio głównie na Opolszczyźnie, gdyż tam jest zwarte środowisko kresowe, a ludziom

Przygody z Kresami

Wminionym pięcioleciu Krakowski Oddział TMLiKPW kontynuował organizację wycieczek do Lwowa, na Kresy, na Huculszczyznę.

Corocznie odbywa się przynajmniej jedna wycieczka do Lwowa. Zainteresowani tymi wyjazdami twierdzą, iż rok bez wycieczki do Lwowa, to stracony rok... Stale ich ciągnie do miejsc, z którymi łączą przeróżne wspomnienia, jak również żal za utraconą Ojczyznę. Są to bowiem wyjazdy nie tylko do Lwowa. Całe Kresy przyciągają swą urodą, polskimi zabytkami, dlatego staramy się docierać do tych pięknych i historycznych miejsc.

W trakcie pobytu we Lwowie staramy się przeznaczyć jeden dzień na zetknięcie się z rzeczywistym i prawdziwym światem tego mitycznego obszaru – częścią południowo-wschodnich utraconych ziem dawnej Rzeczypospolitej. W czerwcu tego roku, oprócz Lwowa, zwiedziliśmy Stare Sioło, Świrz, Pomorzany, Zadwórze. Uważamy za swój obowiązek pamiętać o Zadwórzcu, podtrzymywać w narodowej pamięci to Miejsce, przybliżyć je osobom, które go nie znają, a są tacy, ponieważ do naszego stałego już grona dołączają uczestnicy, którzy nie są nawet związani ze Lwowem czy Kresami, a pragną je poznać.

Nieobce są nam również wycieczki na Litwę. W maju tego roku byliśmy w Wilnie, Kownie, Trokach, Szydłowie. Odwiedziliśmy Górę Krzyży pod Szawłami. Po raz pierwszy przebyliśmy trasę pt. *Dworki nad Niemnem*.

W 2018 roku, wspólnie z Klubem Seniora Lekarzy, zorganizowaliśmy wycieczkę pt. *Polskie ślady na Białorusi*. Byliśmy w 21 historycznych miejscowościach. Odwiedziliśmy m.in. mogiłę powstańców z 1863 roku w Miniewiczach, pomnik Powstańców Styczniowych w Bohatyrowiczach, cmentarz polski w Grodnie, cmentarz z grobami polskich żołnierzy z 1920 i 1939 roku w Kobryniu. Zwiedziliśmy dworek rodziny Mickiewiczów i Kościuszków, Muzeum Elizy Orzeszkowej, zamek Horeszków (Lista UNESCO), byliśmy na grobie Jana i Cecylii nad Niemnem i wielu innych ciekawych i zabytkowych miejscach. Pozostały niesamowite wrażenia!



Od lewej: prof. Leszek Wajda, Roma Żukowa, Jurek Żuk

W ciągu ostatnich pięciu lat zorganizowaliśmy 9 wycieczek. Cieszy nas bardzo to, że do naszej grupy dołączają ludzie młodszy wiekiem oraz młodzież. Jest to dla nich wspaniała lekcja historii, a nam może się uda chociaż w niewielkim stopniu odpowiedzieć Marianowi Hemarowi na pytania zadane w wierszu *My Lwowiacy*:

*Do czyich rąk ostatni z nas
Odda chorągwi drzewce? Komu
Przekáže, gdy nadejdzie czas,
Aby ją cało niósł do domu?
Gdzie są te ręce, w które my
Oddamy nasze gwiazdy, szarfy,
Pieśni, marzenia, struny, harfy,
Przysięgi, krzyże, wiersze, lwy?...
Po wszystkich dolach i odmiarach,
Ucieczka kończy się powrotem.
Synu, pamiętaj tylko o tem,
że miłość wraca na kolanach.*

Zatem my poprzez nasze wyprawy będziemy się starać nadal kultywować pamięć o Lwowie i Kresach.

Dopóki sił starczy.

Romana Żuk

Organizatorka wycieczek na Kresy

„Cracovia-Leopolis”? Obecny!

Nie będę powtarzał historii powstania kwartalnika „Cracovia-Leopolis”, bowiem to wszystko zostało dokładnie opisane przez założyciela pisma i jego wieloletniego redaktora naczelnego Andrzeja Chlipalskiego w biuletynach towarzyszących jubileuszom Krakowskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich na przestrzeni minionych 30 lat.

Jubileusz z jednej strony powinien być radosny, bowiem dobijamy jako pismo do jakże okragłej rocznicy istnienia – 25 lat w przyszłym roku! Poza tym nadal istniejemy, mamy czytelników, jesteśmy potrzebni. Z drugiej strony ostatnie lata były jednak dla nas kryzysowe, a ostatnie miesiące bardzo smutne – 15 sierpnia, w wieku 88 lat, zmarł Andrzej Chlipalski. Pomysłodawca i inicjator powołania naszego pisma. Animator i realizator wielu wielkich i niepowtarzalnych przedsięwzięć programowych Krakowskiego Oddziału TMLiKPW. Przez całe lata podpora i filar pamięci o Kresach w Krakowie i nie tylko. Bardzo Go brakowało od czasu, kiedy choroba nie pozwalała mu uczestniczyć w działalności TMLiKPW oraz redakcji „Cracovia-Leopolis” i będzie długo brakować jego wsparcia.

Ostatnie pięć lat to czas wewnętrznych przekształceń w łonie redakcji. W roku 2015 ukazały się 4 numery pisma. W ostatnim, w tekście od redakcji *Finis coronat opus*, Andrzej Chlipalski napisał: *Koniec wieńczy dzieło. Czytelnicy pamiętają zapewne, że już parokrotnie zapowiadaliśmy kres wydawnictwa naszego kwartalnika, który powołaliśmy do życia w 1995 roku z niepowtarzalnym tytułem, stworzyliśmy jego układ rzeczowy i szatę graficzną. Dotąd do tego zakończenia nie doszło, bo Czytelnicy protestowali, chwalili pismo w licznych listach, w rozmowach telefonicznych i na spotkaniach. Tym razem już bezskutecznie. Po 21 latach niełatwych zajęć w parosobowym zespole, związanych z każdorazowym tworzeniem koncepcji, poszukiwaniem materiałów, szeroką i czasochłonną korespondencją, poprzez dobieranie ilustracji, redagowanie tekstów, udział w składaniu komputerowym –*

*to wszystko w niełatwych warunkach życia, bo przecież pracę tę podejmowaliśmy całym bezinteresownym – przyszło naturalne zmęczenie. Czytelnicy, ale i my, należący do redakcji pisma, nie dawaliśmy jednak za wygraną. W 2016 roku ukazał się jeden numer opatrzony literą „S”, a w nim ode-dakcyjny wstępniak *Pożegnanie*, o definitywnym już rozstaniu: *Co prawda w ostatnim numerze nasza Redakcja pożegnała się z Czytelnikami, którzy wytrzymali z nami 20 lat, ale właśnie ci sami Czytelnicy oprotostowali gorąco nasze odejście. W licznych listach, rozmowach telefonicznych i bezpośrednich wykazali swój żal i poczucie straty. W ostatnim akapicie Andrzej Chlipalski dodał: *Dochodzą nas jednak słuchy, że podobne czasopismo o tym samym tytule* będzie się ukazywać pod innym kierownictwem, z nowym zespołem, jednak zapewne w części złożonym z członków dotychczasowego zespołu redakcyjnego. Tu mielibyśmy uprzejme życzenie: skoro pozostaje ten sam tytuł – prosilibyśmy nowych redaktorów o zmianę przynajmniej koloru okładek, co zaakcentowałoby zaszłą zmianę. Liczymy na lojalność.* Wskazał zatem przysłowio-we światełko w tunelu, ale nie okazał do końca aprobaty dla kontynuacji wydawania pisma. Rok 2016 to ciągle rozmowy i naciski na Andrzeja Chlipalskiego, by nadal pełnił obowiązki redaktora naczelnego, bez konieczności redakcyjnej pracy przy jego powstawaniu. Równoległe trwały rozmowy z piszącym te słowa prowadzone przez śp. Adama Gyurkovicha, który w ostatnich latach zaczął wyraźnie doceniać nasz kwartalnik i prawdziwie żał mu było pismo zamykać. W końcu wydawanie pisma to jednak jedna z ważnych form działalności Krakowskiego Oddziału TMLiKPW i tak naprawdę jedyna, która pozostawi na lata ślad w bibliotekach na całym świecie oraz w sieci internetowej. W końcu doszliśmy do konsensusu, a nawet udało się przekonać Andrzeja Chlipalskiego do tego, by pismo pod nowym kierownictwem nadal się ukazywało. Andrzej Chlipalski zastrzegł jednak, by w stopce redakcji figurował jako „redaktor honorowy” i mógł**

w każdej chwili się wycofać. Takie decyzje znalazły aprobatę całego zespołu redakcyjnego. Zmiana na stanowisku redaktora naczelnego spowodowała wycofanie się z grona naszej redakcji pana Ireneusza Kasprzysia.

Zmianie towarzyszyły też perturbacje administracyjne. Po ukazaniu się pierwszego numeru pisma w 2017 roku z krakowskiego sądu administracyjnego przyszło pismo wzywające Oddział Krakowski TMLiKPW do określenia się, czy kwartalnik „Cracovia-Leopolis” będzie nadal wychodził i zwracał się o ponowne złożenie dokumentacji rejestracyjnej pisma oraz złożenie deklaracji od redaktora naczelnego pisma. Oznaczało to konieczność ponownej rejestracji pisma. Nikt jednak nie doszedł, skąd taka nadgorliwość sądu się wzięła, skoro pismo regularnie się ukazywało.

Redakcja pracowała w składzie: Anna Madej, Danuta Siekańska-Trylska, Krystyna Stafińska, Anna Stengl, Barbara Szumska, Marta Walczewska, i Andrzej Chlipalski – redaktor honorowy oraz Janusz M. Paluch – redaktor naczelny. W roku 2017, 2018 i 2019 pismo wychodziło regularnie. Przez te ostatnie lata borykamy się z pozyskiwaniem nowych i atrakcyjnych tekstów. Borykamy się też z finansami. W latach 2015, 2017 i 2018 udało się pozyskać dofinansowanie w ramach konkursu grantowego z Gminy Miejskiej Kraków. W roku 2019, w którym konkursu na wydawnictwa nie ogłoszono, Gmina Kraków postanowiła dofinansować nas za pośrednictwem Biblioteki Kraków. W tym miejscu muszę wyrazić wdzięczność pani Katarzynie Olesiak – dyrektorowi Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego UMK oraz jej zastępczyni – pani Magdalenie Doksie-Tverberg oraz panu dr. Stanisławowi Dziedzicowi – dyrektorowi Biblioteki Kraków za przychylność, dzięki której kwartalnik „Cracovia-Leopolis” nadal jest dostępny dla czytelników nie tylko w Krakowie, ale całej Polsce i poza jej granicami.

W 2017 roku zaprosiłem do udziału w redagowaniu pisma młodych naukowców i publicystów, których pasjonują Kresy i ich dziejom poświęcają swe prace badawcze. Wśród nich są: Aleksandra Solarewicz (Wrocław), dr Natalia Tarkowska (Kraków), dr Paweł Brzegowy (Kraków), dr Jarosław Krasnodębski (Warszawa), dr Michał Pie-



karski (Warszawa). W tymże roku zwróciłem się do kilku osób, autorytetów naukowych prowadzących badania naukowe poświęcone Kresom bądź ludziom Kresów, z prośbą o uczestnictwo w Radzie Programowej naszego pisma. W skład tego dostojnego gremium wchodzi: Stanisław Czerny (p.o. prezesa zarządu Krakowskiego Oddziału TMLiKPW), dr Stanisław Dziedzic (dyrektor Biblioteki Kraków), dr Karolina Grodziska (Biblioteka PAU i PAN), ks. prof. dr hab. Józef Wołczański (Uniwersytet Jana Pawła II w Krakowie), dr Tadeusz Skoczek (dyrektor Muzeum Niepodległości w Warszawie) i niżej podpisany.

Ostatnie dwa lata były dla naszej redakcji bardzo traumatyczne. We wrześniu 2018 roku odchodzi pani Danuta Siekańska-Trylska – krzemieńczanka, harcerka, sybiraczka, która pilnowała na łamach pisma spraw Wołynia i Krzemieńca. Uczestniczyła we wszystkich najważniejszych uroczystościach patriotycznych, zdając na łamach krótkie relacje. Rok 2019 odebrał nam w czerwcu panią Barbarę Szumską, lwowiankę, niezwykle dzielną i dobrą osobę, która – dopóki sił starczało – pracowała na rzecz kwartalnika „Cracovia-Leopolis”. To z nią mieli najczęstszy kontakt nasi czytelnicy, bowiem w sprawach pisma Ona odbierała telefony, wiadomości mailowe, na które odpowiadała, wysyłała kwartalnik do czytelników. Nad tymi obowiązkami panowała niemal do ostatnich chwil swego życia. W sierpniu, niespodziewanie, dotarła do nas wiadomość o śmierci Andrzeja Chlipalskiego. Wiedzieliśmy, że jest chory, cierpiący, ale cały czas mieliśmy nadzieję, że stanie się cud i pojawi się na spotkaniu w Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką”. Tak się nie stało... Pożegnaliśmy go na Cmentarzu Salwatorskim w Krakowie.



Fot. Janusz M. Paluch

ANDRZEJ CHLIPALSKI

(1931-2019)

Z niewypowiedzianym smutkiem żegnamy naszego przyjaciela śp. Andrzeja Chlipalskiego, Osobę o nieprzeciętnych walorach intelektu i życiowej pasji, jaką stał się Jego rodzinny Lwów i problematyka kresowa.

Podczas niemieckiej okupacji rodzina była zmuszona opuścić Lwów. W pierwszym etapie zatrzymano się u krewnych w Wieliczce, a dwa lata później w Krakowie. Potem Gimnazjum i Liceum im. Jana III Sobieskiego i w 1949 roku matura, a w latach 1949–1955 studia architektoniczne na Politechnice Krakowskiej zwieńczone dyplomem magistra inż. arch.

Jeszcze przed dyplomem związał się z powstającym w Krakowie oddziałem warszawskiego Biura Projektów Służby Zdrowia. Był projektantem-specjalistą wielu obiektów szpitalnych i rehabilitacyjnych na Śląsku i w Krakowie, w tym: Górniczego Centrum Rehabilitacji Leczniczej w Reptach Śląskich, Śląskiego Centrum Rehabilitacji w Ustroniu, Instytutu Pediatrii Akademii Medycznej w Krakowie, Ośrodka Dializ Akademii Medycznej w Krakowie i wielu innych.

W latach 1984–1988 jeździł 7-krotnie do Syrii, pełniąc funkcję konsultanta Biura Projektów w Damaszku do projektowania szpitali w tym kraju. Jego praca została wysoko doceniona branżowymi odznaczeniami i medalami oraz dyplomami.

Po przejściu na emeryturę całym sobą oddał się tematyce lwowskiej. Kiedy po transformacji we wrześniu 1988 r. powstało Towarzystwo Miłośników Lwowa, potem nazwa rozszerzona na TMLiKPW (i Kresów Południowo-Wschodnich), był inicjatorem

i współtwórcą powołania do życia krakowskiego Oddziału w lutym 1989 r. i został wiceprezesem, a także wiceprezesem w Zarządzie Głównym we Wrocławiu.

Wtedy też wystąpił z propozycją stworzenia Instytutu Polskiego Dziedzictwa Historii i Kultury Kresów Wschodnich. Uważał, że dla nas zapomnienie tych ziem jest bolesnym wspomnieniem tego, co zostaliśmy zmuszeni opuścić. Uparcie apelował, abyśmy pamięcią ratowali to, co zostało nam podstępnie zabrane. Idea powstania Instytutu miała być gwarancją pielęgnowania w sposób naukowy, fachowy zachowania pamięci o dziedzictwie tych ziem, kiedy nas już nie będzie. Mimo szerokiego poparcia środowiska kresowego, w tym luminarzy nauk z różnych dziedzin,

ta ze wszech miar słuszna inicjatywa nie doczekała się realizacji.

Był też inicjatorem powstania w ramach Oddziału Kół regionalnych, wychodząc z założenia, że Koła będą bardziej spójne niż ogólne towarzystwo miłośników Lwowa i jak zwykle nie mylił się. Był autorem wielu projektów jako pomysłodawca i współtwórca. W latach 1989–1995, mając wiele znajomości z różnych sfer, nie tylko ekspatrianckich, docierał do znanych osób i instytucji z całego kraju, a i spoza, co pozwoliło mu inicjować i realizować najrozmaitsze przedsięwzięcia, liczne imprezy, wystawy, koncerty – w tym najważniejszym *Homagium Leopoli* (1994 r.), z udziałem 7 kompozytorów rodem ze Lwowa w Filharmonii Krakowskiej, zamykającym Rok Lwowski oraz mszy św. w intencji – dzisiaj już świętego – abp. Józefa Bilczewskiego.

Był też pomysłodawcą i prowadzącym w latach 1998–2010 comiesięcznych „kame-



Wernisaż wystawy „Turystyka letnia i zimowa w Karpatach Wschodnich” w krakowskim Domu Polonii w roku 1992. Od lewej stoją: NN, Adam Jerzy Chowaniec, Stanisław Dziedzic, Andrzej Chlipalski, Krystyna Stafirska, prof. Jerzy Kowalczyk (fot. z archiwum Krystyny Stafirskiej)



Wycieczka na Kresy, od lewej: Andrzej Chlipalski, Hanna Chlipalska i Krystyna Stafińska (fot. z archiwum Krystyny Stafińskiej)

ralnych wieczorów” Towarzystwa w Klubie „Zaułek” przy ul. Poselskiej 9, o charakterze spotkań „naukowych”, wspomnieniowych, wernisaży i koncertów związanych tematycznie ze Lwowem, jego historią i kulturą, ale też z całą Małopolską Wschodnią.

Wielką troską śp. Andrzeja było ratowanie popadających w ruinę zabytkowych obiektów Cmentarza Łyczakowskiego we Lwowie i w tym celu zainicjował coroczne kwesty na głównych cmentarzach Krakowa. Od 1996 roku Krakowski Oddział TMLiKPW przy pomocy lwowskich Polaków prowadzi stosowne i nieodzowne prace, zabezpieczając i uzupełniając niszczone obiekty, a także oczyszczając zachwaszczone pola cmentarne.

Heroicznie trwał w wierności swojemu miastu, a także w służbie wartościom kultury ojczystej i we wrześniu 1995 r. był także założycielem i twórcą tytułu czasopisma „Cracovia-Leopolis”. Pismo szybko zyskało renomę świetnie, inteligentnie redagowanego, spójnego tematycznie. Wysoko oceniono jego rolę w kształtowaniu świadomości społecznej. Redakcja otrzymywała dużo listów pochwalnych z prośbą o kontynuację wg koncepcji i w takim stylu, jaki nadał piśmu jego redaktor naczelny. Pod redakcją Andrzeja zostało wydanych 90 numerów, a ponadto kilkanaście zeszytów i broszur okolicznościowych, to ponad 6000 stron druku, których autorami były setki osób. Pismo było sukcesywnie archiwizowane w formie elektronicznej i dostępne na stronie internetowej kwartalnika.

W końcu zabrakło sił i zdrowia, i kiedy nasz Naczelny był zmuszony zrezygnować, stale nadchodziły listy z całej Polski, ale i z zagranicy z prośbą o kontynuację. Kwartalnik „Cracovia-Leopolis”, który zawierał tak dużo materiału ważnego, ciekawego, nasyconego wiedzą o historii naszych Kre-

sów Wschodnich, traktowano jako „dobry tyk źródlanej, czystej wody”, jako „pismo kultowe w Polsce i na świecie, jako kontynuację naszego życia, Kresów oraz ich historii”.

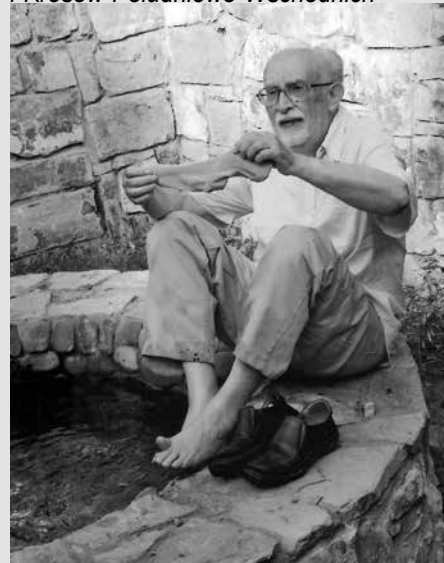
Andrzej stale podkreślał, że powinniśmy się szczylić tym, że zostaliśmy na tej ziemi kresowej zrodzeni i z nią, pomimo granicy, na wieki złączeni.

A my będziemy na zawsze głęboko wdzięczni Andrzejowi, że nie szczędził nam swojej wiedzy i talentu, i wszczepił szlachetną pasję zdobywania rzetelnej wiedzy o Lwowie i innych ziemiach Małopolski Wschodniej.

TMLiKPW doceniło Jego niedościgniony wkład rzetelnej pracy. Otrzymał państwowe i honorowe odznaczenia, w tym: Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski (2004), Medal *Pro Memoria* (2005), Złoty Medal Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej (2007), Złotą Odznakę Zasłużonego Członka TMLiKPW oraz ostatnio, w 2019 roku, Medal z okazji Jubileuszu 25-lecia Instytutu Lwowskiego i Odznakę z okazji 30-lecia naszego Towarzystwa.

Z bólem w sercu żegnamy Cię, Andrzeju. Poprzez „Cracovia-Leopolis” stworzyłeś sobie trwałe pomniki pamięci, niech Ci ziemia, choć krakowska, a nie lwowska, lekka będzie.

Twój przyjaciele i współtowarzysze z Redakcji „Cracovia-Leopolis” i krakowskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich



Złoczów, sierpień 2010, źródło u podnóża zamku (fot. Krystyna Stafińska)

Orlęta lwowskie potrafią do nas przemówić

Z Anną Fastnacht-Stupnicką rozmawia Aleksandra Solarewicz*

„Kresy” – tego określenia używa się w odniesieniu do wszystkich terenów, które Polska utraciła po II wojnie. To trochę mylące, ponieważ pierwotnie kresami nazywano ziemie znajdujące się na skraju państwa polskiego (stąd Ukraina). Lwów nie leżał u skraju, dlatego wolę używać określenia wschodnie ziemie dawnej Rzeczypospolitej – mówi Anna Fastnacht-Stupnicka. Dziennikarka i pisarka, miłośniczka Kresów i autorka m.in. książki pt. *Zostali we Lwowie*, która ukazała się w 2010 roku. Na przykładzie losów kilkunastu rodzin, w oparciu o wywiady i wspomnienia, opisała w niej byt codzienny i walkę o zachowanie tożsamości narodowej Polaków we Lwowie w okresie drugiej wojny światowej oraz przez kilka dziesięcioleci powojennych, w oderwaniu od ojczyzny.

W 2011 roku, w IV edycji konkursu Książka Historyczna Roku, ogłoszonego przez TVP, Polskie Radio i IPN, książka była nominowana do nagrody w kategorii najlepsza książka popularnonaukowa poświęcona historii Polski XX wieku. Dwa lata później, w 2012 r., ukazała się jej czwarta książka pt. *Profesor Tadeusz Kielanowski. Szkic w tle rodziny i epoki*, opowiadająca

o losach lwowskiej rodziny i dokonaniach jej członków w różnych dziedzinach nauki, kultury, polityki. Anna Fastnacht-Stupnicka jest też autorką książki *Saga wrocławska. 74 opowieści rodzinne* (wyd. I 2004, wyd. II 2015), zawierającą zbiór reportaży z dziejów znacznych rodów osiadłych po II wojnie we Wrocławiu. W książce *Od św. Jadwigi do Marka Hłaski. Niezwykłe losy wybitnych ludzi na Dolnym Śląsku* (2007) zaprezentowała sylwetki wybitnych ludzi związanych z dziejami Dolnego Śląska, poczynając od średniowiecza po czasy nam współczesne. Anna Fastnacht-Stupnicka, ur. 1948 we Wrocławiu, absolwentka polonistyki na Uniwersytecie Wrocławskim, dziennikarka i pisarka, jest członkiem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Towarzystwa Przyjaciół Ossolineum, Towarzystwa Przyjaciół Sanoka i Ziemi Sanockiej (była współzałożycielką koła wrocławskiego i członkiem jego zarządu przez kilka kadencji). Publikowała m.in. w podziemnej prasie solidarnościowej, „Nowej Trybunie Opolskiej”, „Słowie Polskim” (dzisiejszej „Gazecie Wrocławskiej”), „Gościu Niedzielnym”.



Lwów 2006 r., od lewej stoją Adam Grochołski, Anna Fastnacht-Stupnicka Leszek Flis i Andrzej Grochołski (z archiwum Anny Fastnacht-Stupnicka)

Zostali we Lwowie – to książka o żywych, nie o zasłużonych, którzy „zostali” na Cmentarzu Łyczakowskim...

Jak wskazuje ten niewymyślny tytuł, książka opowiada o Polakach, którzy nie opuścili Lwowa po drugiej wojnie światowej, nie ekspatriowali się, lecz zostali na miejscu. Odcięci od Ojczyzny, ale wciąż jej wierni. Mówią niektórzy: to nie my opuściliśmy Polskę, lecz Polska nas.

Co było bezpośrednią iskrą, która rozpałała w Pani chęć napisania tej książki?

Podczas jednego z pobytów we Lwowie, rozmawiając z tamtejszymi Polakami o ich powojennych losach, uświadomiłam sobie, że wśród licznych książek o Lwowie wydanych w ostatnim ćwierćwieczu nie ma publikacji, która przedstawiałaby życie naszych rodaków w okresie panowania Związku Radzieckiego. Mamy liczne wspomnienia z lat przedwojennych, z okresu okupacji, natomiast o tym, co przeżyli lwowianie później, w oderwaniu od Ojczyzny, właściwie nie wiemy. Wróciłam do domu z silnym przekonaniem, że należy wypełnić tę lukę i parę miesięcy później pojechałam zbierać materiały, nagrywać wywiady.

A więc: kto zostawał we Lwowie i dlaczego? Czy rozmawiając z Panią po latach, ludzie ci nie żalowali swojej decyzji?

Nie spotkałam nikogo, kto żałowałby swojej czy rodziców decyzji. Żyli w swoim ukochanym mieście, za którym nie musieli tęsknić, jak powiedziała jedna z bohaterek książki. Powody pozostania były różne, indywidualne. Jedni nie chcieli opuszczać Lwowa z pobudek patriotycznych i poczucia odpowiedzialności za zgromadzone tam dobra narodowe, innym było żal domu, ogrodu, dobytku pokoleń. Niektórzy ze względu na wiek i stan zdrowia nie czuli się na siłach, by organizować sobie życie od zera w nowym, obcym miejscu. Młodszy nie chcieli opuszczać starych rodziców. Wielu czekało na powrót swoich bliskich z więzień i łagrów. A wszyscy liczyli na zmianę sytuacji politycznej, trwali w przekonaniu, że pojałtańskie decyzje są tymczasowe i wkrótce granice Polski wrócą do poprzedniego stanu.

Jak stawiali oni opór władzom sowieckim? Są przykłady bohaterstwa...

Według mnie bohaterstwem była już sama decyzja pozostania pod sowieckimi rządami w mieście zdominowanym przez napływowych mieszkańców, Rosjan i Ukraińców. O zorganizowanym oporze nie było mowy, ale my, Polacy, potrafimy podejmować różne formy działania o charakterze konspiracyjnym, jeśli grozi nam wynarodowienie. Tak właśnie było po wojnie we Lwowie. Trzeba było dużej odwagi, by organizować wysyłanie paczek do łagrów, by uczyć religii, historii Polski, przygotowywać dzieci do pierwszej komunii świętej, dbać o groby, urządzać jasełka, przedstawienia, pielęgnować język, polskie tradycje i pamięć historyczną. Taką działalność mimo prześladowań, zagrożeń, inwigilacji prowadziło wiele osób, by wymienić tylko panie Zappe, państwa Adamskich, Cydzików.

Co wywalczyli dla Polski, opiekując się naszymi dobrami kulturalnymi w zabranym mieście?

Dobra naszej kultury w tym mieście były zarządzane przez nowych władców. Nawet Polacy, którzy pracowali w muzeach czy bibliotekach, nie mieli wielkiego wpływu na sposób opiekowania się tymi zbiorami. Na pewno udało im się zadbać o katedrę łacińską i kościół św. Antoniego, dwie świątynie, które pozostały w naszych rękach, ale już kościoła Marii Magdaleny nie byli w stanie uratować przed dewastacją (do dzisiaj skutecznie walczą o odzyskanie tej świątyni). Niewątpliwie wywalczyli to, że wyrosło powojenne pokolenie Polaków we Lwowie przepojonych patriotyzmem, z dużą wiedzą historyczną i świadomością narodową. To, że po upadku Związku Radzieckiego powstały tam stowarzyszenia polskie, polskie czasopisma, radio, liczna grupa przewodników miejskich świetnie przygotowanych, silne, choć mocno zatimizowane, polskie środowisko, jest – według mnie – zasługą tych, którzy zdecydowali się zostać we Lwowie i przekazali następnym pokoleniom miłość do tego miasta i tożsamość narodową.

Jak oceniają nasze, Polaków w kraju, zaangażowanie w to zadanie? Czy zostawiliśmy ich własnemu losowi?

W pewnym stopniu tak. Spotkałam się z ocenami krytycznymi. Tak zwana „poprawność polityczna”, dla mnie pojęcie irytujące,

powoduje, że w oficjalnych relacjach więcej jest ukłonów w stronę Ukraińców i uwzględniania ich punktu widzenia, niż pamiętania o nas samych. Dotacje na polskojęzyczne media są niedostateczne. Po latach starań dopiero teraz ma powstać Dom Polski we Lwowie. Polacy we Lwowie mają wiele powodów do żalu. Zapominamy o nich.

Wśród tych, którzy zostali, byli Pani krewni. Dlaczego?

Mój stryjeczny dziadek, Edward Fastnacht, wielki patriota, powiedział po wojnie, że zostaje we Lwowie na straży kultury polskiej. Zginął tragicznie w 1951 roku potrącony przez sowiecki samochód. Jego córka, Janina, żyła we Lwowie do 1986 roku, miała duże zasługi dla polskiego środowiska: współpracowała z księdzem Kiernickim, uczyła ministrantury, etyki katolickiej. Do dziś jest wspominana jako osoba niezwykle prawa, z zasadami i bardzo skromna.

Czy wraca Pani do Lwowa, spotykając się z bohaterami książki?

Przynajmniej raz w roku jeżdżę do Lwowa, ponieważ po dłuższej nieobecności zaczynam tęsknić za tym miastem jak za bliską osobą. Składam wizyty niektórym bohaterom mojej książki, zawsze są to bardzo serdeczne spotkania. Niestety, z roku na rok jest ich coraz mniej. Kilka osób, z którymi się zaprzyjaźniłam, już odeszło.

Kresy – jak właściwie funkcjonuje to pojęcie w polskim społeczeństwie?

Obecnie używa się tego określenia w odniesieniu do wszystkich terenów, które Polska utraciła po drugiej wojnie. To trochę mylące, ponieważ pierwotnie kresami nazywano ziemie znajdujące się na skraju państwa polskiego (stąd nazwa Ukrainy). Lwów nie leżał u skraju, od niego do wschodniej granicy był jeszcze kawałek drogi, dlatego wolę używać określenia wschodnie ziemie dawnej Rzeczypospolitej.

Czy Kresy to dla pokolenia tych, których rodzice zmuszeni zostali do opuszczenia Kresów, dalej coś istotnego? Czy może już tylko mityczne wspomnienie z opowieści rodziców?

Obserwuję w ostatnich latach pogłębianie się tych więzi. Często młodzi ludzie, po-



Lwów 2017, Anna Fastnacht-Stupnicka (fot. Anna Kłosek)

szukując swoich korzeni, gromadząc dane o przodkach, trafiają na tamte tereny, znane im tylko z opowieści rodzinnych, i odkrywają je na nowo, nagle zakochują się w nich. Towarzyszą temu emocje, wzruszenia, a w ślad za tym idzie chęć poznania historii ziem przodków, wydobywania z zapomnienia ich losów. Dla mnie też Lwów był dawniej takim mitycznym wspomnieniem ojca, opowieścią rodzinną, dopóki sama nie zbliżyłam się do tego miasta, nie zaprzyjaźniłam się z nim.

Odwróćmy teraz pytania: czym jest Polska dla Polaków ze Lwowa, z Wilna, Litwy?

Bardzo bliską a zarazem odległą Ojczyznę. Pani Krystyna Angielska, lwowska poetka, tłumaczyła mi tak: „ojczyzna intelektualna jest tam, nad Wisłą, a ojczyzna, z którą jestem emocjonalnie związana, ziemia, którą kocham, jest tutaj”. I bardzo trafnie wyraziła to w swoim wierszu: *Moja ojczyzna – to rozdwojenie duszy,/ z którego nigdy nie można/ się wyleczyć./ Bo ojczyzn tych jest dwie:/ Lwów i Polska.*

Serbia utraciła swoje Kosowo, a my Kresy. Na Bałkanach sprawa jest dość świeża w porównaniu z sytuacją w naszym regionie i Serbowie dość żywo wyrażają swój sprzeciw wobec zaistniałej sytuacji. U nas z kolei czas



robi swoje i można się spodziewać, że uleczy ranę, jaką jest utrata Kresów. Czy chcemy takiej „kuracji”? Czy to nie jest raczej swego rodzaju brutalna amputacja?

Oczywiście, że była to brutalna amputacja, z którą musieliśmy nauczyć się żyć. Można iść dalej z tym porównaniem: amputowany organ został przeszczepiony i przyjęty przez nowy organizm, ale biorca uważa go za swój przyrodzony i wypiera ze świadomości fakt całej operacji. Wielu Ukraińców nie wie o tym, że Lwów był przed wojną polskim miastem. Można tę niewiedzę usprawiedliwiać kulawą edukacją szkolną, ale jeżeli ukraiński profesor na prelekcji w Polsce tak opowiada o historii Ukrainy, że ani razu nie pada słowo „Polska”, to już jest niepokojące. Podobne uniki stosują zresztą i nasze elity, czego przykładem była uroczystość odsłonięcia pomnika zamordowanych profesorów we Lwowie, podczas której także nie padły określenia „polscy profesorowie”, „polskich uczelni”.

Orlęta Lwowskie – czy ktoś o nich jeszcze pamięta? Zdaje się, że w Polsce, szczególnie młodsze pokolenie, zupełnie nie wie, kim byli. Czy młode pokolenie kresowian, którzy mieszkają na ziemiach swoich przodków, jest w lepszej kondycji intelektualnej? A może nie odbiega od swoich rówieśników z Polski?

Niedawno rozmawiałam z młodym człowiekiem, który opowiadał mi, że Lwów był dla niego zupełnie obcym, obojętnym miastem,

ale kiedy tam pojechał po raz pierwszy i zawędrował na Cmentarz Obronców Lwowa, zobaczył groby, monumentalne wejście, doznał ogromnego wzruszenia i rozplakał się. Powiedział: „na poziomie mentalnym przyłączyłem wtedy Lwów do Macierzy”, a więc lwowskie Orlęta potrafią do nas przemówić. Do młodych Polaków we Lwowie chyba też. Widziałam lwowskich harcerzy w Święto Niepodległości na Cmentarzu Orląt i nie była to obecność wymuszona.

Obecna sytuacja na Ukrainie nie należy do stabilnych. Jak się w niej odnajdują Polacy? Czy nie obawiają się, że konflikt z Rosją i prorosyjskimi separatystami rozpali w Ukraińcach banderowskie idee, które już kiedyś były powodem ludobójstwa na Wołyniu?

Banderowskie idee Ukraińcy rozpalają w sobie od dawna, ale nie wydaje mi się, żeby były teraz skierowane przeciw Polakom. Tam jednak trudno cokolwiek przewidzieć. W ubiegłym roku we Lwowie rozmawiałam z wieloma Polakami, a także przypadkowymi Ukraińcami, o obecnej sytuacji. Każdy oceniał ją inaczej, każdy miał inny pomysł na rozwiązanie konfliktu, łącznie z ideą oddzielenia Galicji jako odrębnego państwa. Nie zauważyłam poczucia zagrożenia, w mieście panował zwyczajny nastrój, nic nie wskazywało na to, że w tym samym kraju, na jego wschodnich rubieżach, toczą się walki i giną ludzie.

Kiedy w Polsce, w latach 80. wreszcie mogły powstawać pierwsze koła miłośników Kresów, Towarzystwo Miłośników Lwowa miało w całej Polsce ponad 80 klubów i oddziałów. Działali w nich nasi dziadkowie, może nawet pradiadkowie. Oni zadają sobie pytanie: „Kto nas zastąpi”. Kto?

My. Urodzeni po wojnie i znający tamte ziemie nie tylko z opowiadań rodziców, ale i sami odkrywający ich duchowe i materialne bogactwo podczas wyjazdów, wycieczek, podczas zwiedzania kresowych miast, wędrówek po Gorganach, Czarnohorze. Wystarczy dotknąć tamtej przestrzeni, by usłyszeć wszystko, w czym wzrastali nasi przodkowie. A potem przekazać to naszym dzieciom.

* Wywiad ukazał się w portalu myslkonserwatywna.pl

Michał Piekarski

Moniuszko i Lwów

Rok Moniuszki trwa i skłania do refleksji. Po pierwsze: czy został odpowiednio wykorzystany? Po drugie: co można jeszcze naprawić w tej kwestii? Pytania te pojawiły się u mnie, kiedy przyszedł do mnie student (całkiem nawet inteligentny student) na poprawkowe zaliczenie, a ja na rozgrzewkę zapytałem: więc czyj rok teraz obchodzimy? (cisza), a czyj pomnik stoi przed Teatrem Wielkim w Warszawie? (cisza). To miały być pytania na rozgrzewkę, a okazały się nokautem... Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że promocja Roku Moniuszki kompletnie nie trafia do tych, którzy o kompozytorze wcześniej nie mieli większego pojęcia (a skąd mieli je mieć?). Nie pomogą tu coraz bardziej kolorowe plakaty. Moniuszko od niemal ćwierćwiecza przestał istnieć w przestrzeni publicznej, mimo że pomniki stoją wciąż, gdzie stały. Większe teatry prezentują nam na okrągło tylko dwa (sic!) tytuły: *Halkę* i *Straszny dwór*. W tej gestii na dużej scenie Teatru Wielkiego w Warszawie ani w Operze Krakowskiej w Roku Moniuszkowskim nic się nie zmieniło (Teatr Wielki w 2019 r. wystawił również wileńską wersję *Halki*, stwarzając możliwość porównania z wersją warszawską). Kto wie zatem jak brzmi np. *Hrabina*? W bieżącym roku po latach usłyszeć ją może jedynie publiczność operowa Gdańska. Kto na sumie niedzielnej (osobne koncerty się nie liczą) słyszał jakkolwiek mszę Moniuszki (łacińską, polską)? Kto może zanucić muzykę do *Dziadów* Mickiewicza? O innych utworach już nie wspominam...

We Lwowie to właśnie regularność wykonywania dzieł Stanisława Moniuszki w różnych miejscach wpłynęła na gruntowne zapoznanie mieszkańców miasta z jego różnorodną twórczością. W ważniejszych kościołach podczas niedzielnej sumy nieraz brzmiały msze i inne utwory sakralne tego kompozytora. Nie trzeba było więc iść na koncert, aby zapoznać się choć z częścią twórczości. Tu chciałbym dodać: tradycje te (mimo wielu przeciwności) podtrzymuje p. Bronisław Pacan, wieloletni organista katedry lwowskiej, pod którego kierownic-



W roku 1847 w sali Müllerów amatorowie wykonali *Halkę* po raz pierwszy, ale tylko w dwóch aktach, w rodzaju próby. Te dwa akta, rozprzestrzeniuszy i zwiększyszy do czterech, autor oddał do teatru Warszawskiego. W kilka lat dopiero przyszło do jej przedstawienia; w dniu

twem w niedzielę 5 maja (w dzień urodzin kompozytora) usłyszałem chóralsne *Ojciec nasz* Moniuszki. Miły i jedyny akcent moniuszkowski we Lwowie w dzień jego urodzin poza wspólnym odśpiewaniem *Kuma i kumy* w Zaświeciu...

W XIX i w pierwszej połowie XX w. Iłowianie z muzyką Moniuszki zaznajamiali się gruntownie w ciągu kolejnych dziesięcioleci. W ten sposób Lwów stał się ośrodkiem pielęgnującym szczególnie muzykę twórcy polskiej opery narodowej, mimo że utwory te po raz pierwszy zabrzmiały nie we Lwowie, a w Wilnie lub w Warszawie. Z pewnością przyczyniła się do tego wizyta Stanisława Moniuszki we Lwowie, która miała miejsce w 1865 r. Kompozytor mieszkał już wówczas w Warszawie i był już znanym twórcą oper, mszy, litanii i pieśni. Moniuszko we Lwowie zaprezentował (tuż po warszawskim prawykonaniu) kantatę *Widma* według II części *Dziadów* Adama Mickiewicza. Trzy koncerty odbyły się przy współudziale Galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego o czym informowała „Gazeta Lwowska”. Lwowskie *Dziady-Widma* doczekały się także własnej tradycji

Musica Leopoldis



Kamienica przy ul. Chopina we Lwowie z podobizną Chopina (po prawej) i Moniuszki (po lewej)

inscenizacyjnej. Henryk Jarecki, główny dyrygent lwowskiej sceny operowej (i dawny uczeń Moniuszki), w 1874 r. wprowadził *Widma* na scenę. Cztery lata później kantacie Moniuszki nadano oprawę dramaturgiczną w opracowaniu Stanisława Dobrzańskiego, ówczesnego dyrektora artystycznego teatru. Odtąd do tradycji sceny lwowskiej należało wystawianie tego utworu na początku listopada. W ten sposób utwór predestynowany do wykonywania w okolicy dnia Wszystkich Świętych co roku kształtował gusta kolejnych pokoleń lwowskiej publiczności. W XXI w. warszawska publiczność od 2017 r. ma możliwość regularnego oglądania spektaklu *Dziady-Widma* w wykonaniu Polskiej Opery Królewskiej (zwłaszcza jesienią!). Czy to zwiastun odrodzenia dawnych lwowskich tradycji?

Polska opera narodowa *Halka* zanim zabrzmiała we Lwowie, usłyszana została przez mieszkańców Wilna i Warszawy. Nad Wilią w wersji koncertowej zaprezentowano *Halkę* w dzień Nowego Roku 1848 w tzw. sali Müllera w kamienicy, w której Moniuszko mieszkał przez 18 lat (w późniejszych dziesięcioleciach mieszkanie po Moniuszce do 1945 r. zajmowała rodzina Węśławskich, podtrzymując tradycje muzycznej miejscy (szerzej pisałem o tym w tegorocznym „Magazynie Wileńskim” nr 3). W 1854 r. *Halka* w 2-aktowej wersji wileńskiej zabrzmiała na scenie urządzonej w dawnym gmachu wileńskiego ratusza. Wersja warszawska (rozszerzona do 4 aktów) miała prapremierę w Warszawie w 1858 r. Lwowianie, aby poznać się ze sceniczną wersją *Halki*, musieli czekać 13 lat od prapremiery wersji wileńskiej i 9 lat od prapremiery wersji warszawskiej. Na scenie Teatru Skarbkw-

skiego *Halka* zabrzmiała po raz pierwszy w 1867 r. Operę tę we Lwowie grano nieprzerwanie, zwłaszcza podczas obchodów polskich rocznic narodowych, ale też – co znamienne – z okazji rocznic koronacji (lub urodzin) cesarza Franciszka Józefa. Uroczystość związana z jubileuszem (obcego) monarchy stawała się najlepszą okazją do zademonstrowania polskiej kultury narodowej. To typowo galicyjska specyfika, często niezrozumiała przez mieszkańców innych zaborów...

Straszny dwór Stanisław Moniuszko stworzył w latach 1861–1864. Mimo że zamysł powstał jeszcze przed powstaniem styczniowym, to właśnie prapremiera opery w 1865 r. na trwale umieściła ją w kontekście popowstaniowym, bowiem dzieło to dawało publiczności otuchę po nieudanych zrywie narodowym. *Straszny dwór*, w XIX w. uznawany nieraz za muzyczny odpowiednik *Pana Tadeusza*, ukazuje całe spektrum tradycji szlacheckich przedrozbiorowej Rzeczypospolitej, stanowiąc – podobnie jak u Mickiewicza – sekwencję scen rodzajowych. Z drugiej strony treść opery (będącej nawiązaniem i przeróbką *Ślubów panińskich* Fredry) można odczytać jako drwinę kobiet z męskiego świata... Eskalacja emocji patriotycznych publiczności warszawskiej podczas premiery *Straszego dworu* (oraz dwóch kolejnych spektakli) spowodowały, że nakazem carskiej cenzury operę zdjęto z afisza na... 50 lat. Aż do 1915 r., a więc do końca panowania w Warszawie władzy rosyjskiej, wystawianie sceniczne *Straszego dworu* było zabronione. Warszawiacy, aby obejrzeć *Straszny dwór*, musieli zatem jeździć do Lwowa. Jedynie bowiem w Warszawie i we Lwowie działały wówczas na ziemiach polskich stałe sceny operowe.

Prapremiera lwowska *Straszego dworu* odbyła się w 1877 r. w Teatrze Skarbkwskim pod dyrekcją Henryka Jareckiego. W odróżnieniu od Warszawy opera ta we Lwowie grana była nieprzerwanie i bez cenzury. Na scenie lwowskiej – w Teatrze Skarbkwskim oraz w otwartym w 1900 r. Teatrze Miejskim – publiczność miała nieraz okazję usłyszeć *Straszny dwór* w wykonaniu najlepszych solistów. W 1893 r. jako Hanna

Halka wykonana we Lwowie w 1900 r. z okazji rocznicy urodzin Franciszka Józefa

w *Strasznym dworze* zadebiutowała Janina Korolewiczówna (znana później chociażby publiczności londyńskiej Covent Garden). Niejednokrotnie wykonywała również partię Halki, także podczas gościnnych występów Opery Lwowskiej w Krakowie. Warto dodać, że w późniejszych latach Janina Korolewicz-Waydowa stała się też znaną wykonawczynią głównej roli Broni w *Hrabinie*. Na początku XX w. partię Zbigniewa w *Strasznym dworze* śpiewał kilkakrotnie we Lwowie Adam Didur (znany choćby publiczności La Scali). Do 1939 r. (z przerwą podczas kryzysu sceny operowej na początku lat 30.) na lwowskiej scenie regularnie wystawiano *Halkę*, *Straszny dwór*, *Hrabinę* oraz *Widma*. Dzieła te prezentowano także w innych miastach. Dziś przydałoby się nam na nowo zapoznać z *Hrabiną*, zwłaszcza ze względu na fabułę – satyrę nad bezrefleksyjną pogonią polskich elit za zagranicznymi modami...

Należy nadmienić, że ze Lwowem było związanych dwoje śpiewaków szczególnie bliskich Stanisławowi Moniuszce. Pochodził stąd Jan Kochler (Koehler; 1826–1895), który występował początkowo na scenie niemieckiej, a w 1857 r. przeniósł się do Warszawy i zaprzyjaźnił z Moniuszką. Stał się jednym z najznakomitszych odtwórców głównych partii w *Halce*, *Strasznym dworze* i *Verbum nobile*. Z Warszawy pochodziła z kolei Maria Dobrzańska-Kwiecińska (1843–1890), primadonna Opery Warszawskiej, znana odtwórczyni Halki. Oboje na początku lat 70. XIX w. zamieszkali we Lwowie.

Muzyka Moniuszki brzmiała we Lwowie w teatrze, w kościołach, a także w wielu prywatnych domach. *Śpiewnik domowy*, kształtujący w ogromnym stopniu wrażliwość kilku pokoleń Polaków, w Galicji znalazł bardzo podatny grunt dzięki dość powszechnemu przygotowaniu muzycznemu wśród ziemiaństwa oraz mieszczaństwa. Pieśni Moniuszki, reprezentując zróżnicowany poziom trudności, możliwe są (nada!) do wykonania zarówno przez profesjonalistów, jak i amatorów (choć jednak potrafi dziś zaśpiewać w całości choćby *Kuma i Kumę?*).

Poza ziemiami polskimi pieśni Moniuszki popularyzowała Janina Korolewicz-Waydowa, umieszczając je w programach swoich zagranicznych *tournée*. Rozpowszechnieniu

TEATR hr. SKARBKA

W Sobotę d. 18 Sierpnia 1900 roku.

Uroczyste przedstawienie ku uczczeniu 70-cj rocznicy
Najjaśniejszego Pana.

Rozpoczęcie:
Hymn ludowy i apoteoza z udziałem całego personalu.

Nastąpi:

HALKA

opera narodowa w 4 aktach
słowa W. Wojskiego; muzyka Stan. Moniuszki.

Stolnik	p. Jeliński
Zofia, jego córka	pani Skalska
Janusz	p. Bogucki
Gość 1-szy	p. Kratochwil
Gość 2-gi	p. Kornarzyński
Dziemba, ponfy stolnika	p. Kiezmian
Elzka	pani Kasproviczowa
Jentek	p. Małowski
Dudziarz	p. Pasternki

Goście — wieśniacy — wieśniaczki.

Rzecz dzieje w akcie 1 i 2 w mieście domu stolnika, w 3 i 4-tym we wsi Janusza.

TANCE W akcie 1-szym POLONES i MAZUR BŁĘKITNY. — W akcie 3-cim TANCE GÓRALSKIE układu p. Sachsa.

Początek o godzinie 7½.

twórczości Moniuszki sprzyjał zatem szereg środowisk i instytucji, tworząc schemat: teatr – kościół – dom. Wychowały się na niej co najmniej trzy pokolenia Polaków. Kolejne dwa, powojenne już pokolenia, z Moniuszką miały coraz mniej styczności (choć w PRL grano o wiele więcej tytułów Moniuszki niż dziś). Poza jedną pieśnią *Ojciec* z *niebios* Moniuszko zniknął niestety z kościołów (dla porównania wiedeńscy zarówno w XVIII, XIX, jak i XXI w. regularnie w niedziele przed południem słyszą w kościołach krótsze lub dłuższe msze Josepha Haydna – nie wszędzie wyrzuca się to, co wartościowe...), Moniuszko zniknął z większości domów (choć są chlubne wyjątki, mało komu jednak znane), pozostał jedynie na pomnikach, które kolejnym pokoleniom mogą już z nikim konkretnym się nie kojarzyć. Warto dlatego, w związku z Rokiem Moniuszki, zastanowić się nad ogólnym stanem muzykalności Polaków i kultury muzycznej w Polsce. Jako przykład niech posłużą tradycje „najmuzykalniejszego z polskich miast”, w którym Moniuszko był nie tylko uwieczniany na płaskorzeźbach kamienic, ale także regularnie wykonywany. Nadchodzi listopad – czy umiemy zanucić melodię do *Ciemno wszędzie, glucho wszędzie?*

Zbiory Bolesława Orzechowicza

według Aleksandra Medyńskiego

W pierwszym tegorocznym numerze „Cracovia-Leopolis” przedstawiłem Państwu sylwetkę Bolesława Orzechowicza. Wybitnego mecenasa nauki i kultury, który cały swój majątek, m.in. posiadłość ziemską Kalników, przekazał na rozwój polskiej nauki i kultury we Lwowie. Poniżej prezentuję, posiłkując się *Przewodnikiem po Lwowie* Aleksandra Medyńskiego z 1937 roku, jego zbiory, które eksponowane były do chwili ich przejęcia przez władze sowieckie, 22 września 1939 roku.

Gromadzona niemal przez całe życie kolekcja obrazów, broni i wyrobów rzemiosła artystycznego przekazana została jako darowizna w 1922 roku miastu Lwów. Cenna kolekcja wystawiana była w pałacu Łozińskiego przy ul. Ossolińskich 3.

Poniżej przytaczam tekst z publikacji *Lwów. Ilustrowany przewodnik dla zwiedzających miasto* Aleksandra Medyńskiego. Fotografie kolekcji Orzechowicza zaczerpnąłem z książki *Zbiory Bolesława Orzechowicza opisał dr. Karol Badecki*, wydanej we Lwowie w 1922 roku przez Wydawnictwo Muzeum Narodowego im. Króla Jana III.

Zapraszam do zwiedzania!

Zbigniew Wawszczak



Pałac w Kalnikowicie

Zbiory Bolesława Orzechowicza (ul. Ossolińskich 3) stanowią Oddział Muzeum Narodowego im. króla Jana III, z fundacji ziemianina, właściciela Kalnikowa. Fundator w staraniach o pomnożenie kultury narodowej na kresach nadzwyczaj cenne historyczno-artystyczne swe zbiory muzealne

ofiarował Miastu. Gromadzone przez niego w ciągu długich lat drogocenne skarby malarstwa polskiego i inne zabytki sztuki oraz przedmioty muzealne stworzyły kolekcję o wysokiej wartości artystycznej i stały się w ten sposób podwaliną nowej, bardzo cennej placówki kultury polskiej we Lwowie.

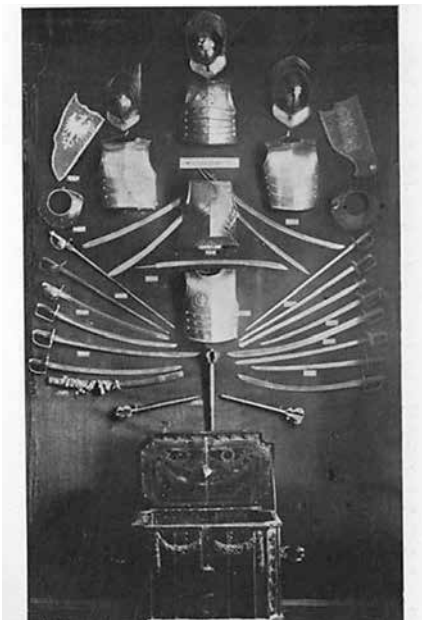
Zbiory Orzechowicza zawierają:

- zbrojownię (ponad 600 okazów broni siecznej i palnej polskiego, zachodniego i wschodniego uzbrojenia), rzędy końskie i czapraki;
- kolekcję numizmatyczną tj. jedyny najkompletniejszy zbiór monet mennicy lwowskiej;
- galerię obrazów polskich i obcych;
- miniatury i sylwety;
- rzeźby polskie, francuskie i włoskie;
- wyroby przemysłu artystycznego: meble, hafty, pasy kontuszowe, ceramikę polską i obcą, wyroby z kości i ze srebra, odlewy z brązu, zabytki konwisarskie i ślusarskie, paramenta kościelne i cerkiewne, zegary ścienna i kieszonkowe.

Zajmują trzy sale parterowe (zbrojownia), klatkę schodową oraz 12 sal I piętra. Wejście z sieni na lewo.

Parter:

I sala (na prawo od środkowej): broń polska i wschodnia (turecka, perska, indyjska, mamelucka). Znakomite okazy broni polskiej: kirysy, kolczany, szyszaki. Szable i szpady augustówki, karabele, sztylety, buzdygany. Pod ścianą polowa kasa żelazna gen. Dwernickiego, z empirowymi ozdobami i wielce kunsztownym zamkiem. Bogaty zbiór broni wschodniej:



BRŃ ZACHODNIA I DWIE POLSKIE ZBROJE HUSARSKIE

tarcze, helmy, karwasze i szable perskie, szable tureckie, indyjskie i mameluckie, osobną grupę stanowią jatagany.

II sala (środkowa): broń zachodnioeuropejska od XVI do XVIII w. Wiatrówki, garłacze skałkowe, muszkiety, karabiny odcylkowe, pistolety.

III sala: broń zachodnioeuropejska z XIX w. Broń palna i sieczna, halabardy, uprzęż.

Klatka schodowa rozpoczyna dział galerijny i przemysłu artystycznego, na równi z bronią umiłowanych przedmiotów kolekcjonerskich dążeń B. Orzechowicza. Wśród innych obrazów Rozwadowskiego Zygmunta: *Epizod z bitwy pod Olszynką* i *Popiela Branki nad Bosforem*.

I piętro:

I Portrety rodzinne Orzechowiczów i hr. Rozwadowskich, starsze, przeważnie nieznanymi malarzami, późniejsze pędzla Pitschmana, Rejchana, Schweikarta, Szlegla, Lisiewicza. Portret fundatora zbiorów pędzla Pochwalskiego, popiersie wykonane przez art. rzeźbiarza Chudzińskiego. Meble czeczotkowe z połowy XIX w. nadają sali charakter ciepłej, staropolskiej komnaty zaściankowej. W ogóle stylowe meble są niemałym ulepszeniem wszystkich sal. W szafach porcelana i wyroby ze srebra.

II Zbiór pasów i zegarków. Kolekcja obejmuje kontuszowe pasy jedwabne, lite



WNĘTRZE SALI V Z GARNITUREM MEBLI CZECZOTKOWYCH

i półtę z XVIII w., kunsztownie wyrobione w Słucku, Kobyłce i w innych wytwórniach. Cenny zbiór zegarków szwajcarskich, angielskich, niemieckich i wiedeńskich.

- III (salonowa) Obrazy Wierusza Kowalskiego: *Napad wilków*, Siemiradzkiego: *Za przykładem bogów*, Brandta: *Pochód Lisowczyków*, Matejki, Pochwalskiego, Malczewskiego. Bacciarelli: *Portret St. Augusta*. *Trzy boginie*, fragment z większego obrazu *Sąd Parysa*, malarza niemieckiego A. F. Schramma. Meble z epoki Ludwika XIV, gobeliny. W serwantkach miniatury z XVIII i XIX w., wreszcie kolekcja szkła polskiego i czeskiego.
- IV Matejki cykl wizerunków książąt i królów polskich: 44 oryginalnych rysunków ołówkowych (1850–1892), nabyty w Wiedniu przez Orzechowicza. Jedyny kompletny zbiór monet mennicy lwowskiej z czasów Kazimierza Wielkiego, Ludwika Węgierskiego, Władysława Opolczyka, Władysława Jagiełły i Jana Kazimierza. Biust Adama Mickiewicza wykonany przez znakomitego rzeźbiarza Władysława Oleszczyńskiego (1856).
- V Kossak. Rysunki i akwarele Piotra Michałowskiego i Juliusza Kossaka *Pieśń Legionów*. Gablotka z brązami. Meble empirowe.
- VI Obrazy Grocholskiego, Augustynowicza, Wierusz Kowalskiego, Leopolskiego: *Zgon Acerna*, Wojciecha Kossaka: *Atak Brochockiego pod Sawonną*, Grabowskiego, Kotsisa i innych. Meble biedermejerowskie, brązy, zegary.
- VII Dalszy ciąg malarstwa. Bakalowicz, Pruszkowski: *Bachantka*. Ajdukiewicz: *Portret ces. Franc. Józefa*, Rosen i in.
- VIII Kruszewskiego akwarelowe karykatury żydowskie, Raczyński, Jarocki i in.
- IX. Malarstwo nowsze. Fałat: *Osaczenie dzika*. *Polowanie na niedźwiedzia*, Tetmajera wiejska scena rodzajowa: *Piast i Rzepicha*, dalej obrazki rodzajowe Bieszczada, pejzaże Neumana, Janowskiego: *W porcie*, Bałka – jasna panorama Splitu.
- X Gryglewski, doskonały malarz świątyni i pałaców, któremu przyjaciel Matejko wmalowywał figurki w jego mistrzowskie wnętrza architektoniczne: *Wnętrze kościoła P. Marii w Krakowie*, obrazki rodzajowe Kotowskiego, Rodakowskiego, studia chłopskie, Fabijańskiego nastrojowe zdjęcie architektoniczne: *Kościół św. Barbary w Krakowie*, Rozwadowskiego: *Powrót Chłopiczkiego do Warszawy*, Koniuszki, ucznia Matejki: *Przy miodku*, Sęka portreciki generałów z 1830/31, pejzaże Stanisławskiego, Ruszczyca i in.
- XI (przez VI salę) Leopolskiego: *Karol V*, wykwintne pastele Bakalowicza, Grotla, pejzaże Bratkowskiego, Axentowicza: *Jordan*, Wyspiańskiego studia pastelowe i in. W sali tej zwracają szczególną uwagę pamiątki po Słowackim i jego rodzinie.
- XII Sztuka obca, zwłaszcza holenderska. Obrazy Neeisa Starszego, Francka i in. Na środku sali zwraca uwagę doskonała statua włoskiego rzeźbiarza prof. Albano (zm. 1893): *Niewolnica zrywająca pęta*. W czasie inwazji rosyjskiej, gdy rzeźba ta znajdowała się w dworze w Kalnikowie, oficer wojsk rosyjskich sądząc, że posąg przedstawia postać ujarzmionej Polski, strzałem karabinowym skierowanym w szyć pragnął zniszczyć cenne dzieło sztuki, oparło się ono jednak temu barbarzyńskiemu atakowi, który pozostawił po sobie widoczny ślad.
- Bogata kolekcja obrazów w zbiorach Bolesława Orzechowicza jest doskonałym dopełnieniem Galerii Narodowej miasta Lwowa, której druga część pomieszczoną jest tymczasowo w tymże gmachu w parterowych salach (na prawo).

<http://www.tpn.pbp.webd.pl/wwwdigi/badec-kizbioryboleslawaorzechowicza/index.html>
– zdjęcia zbiorów z książki Badeckiego.

Natalia Tarkowska

Przybłęda – burzliwa huculska miłość na srebrnym ekranie

Przed oczami widzów roztacza się panorama sielskiego górskiego krajobrazu. Wtem obraz nabiera dynamiki. Na ekranie pojawiają się galopujące konie, a na nich mężczyźni i kobiety w strojnym odzieniu. Woda tryska pod kopytami, gdy konie przepływają przez strumień pod skalnym urwiskiem. W tle gra wartka muzyka. Jeźdźcy, nie zsiadając ze swych koni, a jedynie pochylając się lekko, przekraczają wrota obęjsia. Tam czeka już na nich orkiestra i tłum ludzi. To huculski orszak weselny.

W 1933 roku na polskie ekrany z przytupem wszedł szeroko promowany film pt. *Przybłęda*. Ten malowniczy obraz, tak inny od tego co dotychczas widziano na ekranach przedwojennych polskich kin, musiał wyrzeć na widzach duże wrażenie. Przed nimi jawił się nieznany, nieco dziki i egzotyczny świat owianej legendami Huculszczyzny. Akcja filmu toczy się w okolicy Żabiego, uznawanego za stolicę huculskiej krainy. Reżyserem obrazu był Jan Nowina-Przybylski, który tłumaczył: „Przy wyborze tematu starałem się znaleźć coś nowego, niebanalnego, co by naprawdę zainteresowało publiczność. Komedie się już przejadły, film salonowy wymaga dużego nakładu finansowego, filmy szpiegowskie przeciążyły repertuar. I wtedy ktoś wspomniał o Huculszczyźnie”. Scenariusz napisał Marcei Tarnowski. Ekipa filmowa przez pięć tygodni kręciła zdjęcia w odległym zakątku II RP.

Tytułowa przybłęda zjawia się znieznacka. Podgląda biesiadujących Huculów. Jej obecność zostaje dostrzeżona przez bawiącego się Dmetra, który pod wpływem jej uroku opuszcza izbę i rusza w pogon za kobietą. Jego zazdrosna żona obserwuje całe zajście. Maryjka, bo tak nazywa się przybłęda, opiera się jego zalotom.

Czuje, że i tak jest znieznawiona przez miejscowe kobiety. Nazajutrz we wsi zdycha krowa, jak się okazuje, dzień wcześniej padł też byk. Huculi nie wiedzą, czy to zaraza czy urok. Żona Dmetra obwinia o to przybłędę... Huculi postanawiają ją przepędzić ze wsi. W końcu dochodzi do tragedii. W wyniku bójki o Maryjkę ginie jeden z Huculów... reszta scenariusza niech pozostanie tajemnicą, bo mimo upływu 86 lat od premiery filmu, warto po niego sięgnąć i dać się porwać zaskakującej jak na owe czasy fabule. Film jest dostępny poprzez zasoby Youtube.

Maryjkę zagrała platynowa blond piękność Ina Benita, będąca dopiero u progu swojej aktorskiej kariery. Aktorka przyznała w wywiadzie, że rola Maryjki była pierwszą rolą dramatyczną w jej życiu i obawiała się, że nie podoła wyzwaniu. Jednak prasa w większości przypadków była dla niej łaskawa. Zauważano, że „Ina Benita obdarzona



Maryjka (Ina Benita) i Dmetro (Feliks Zukowski) na kosowskim jarmarku. Narodowe Archiwum Cyfrowe

największym z naszych artystek temperamentem, specjalnie nadaje się do odegrania podobnych przybłędzie ról. Znamienicie oddaje różnorodność stanów uczuciowych szczerzej, jak suka przybłędy, odpychającej od się natrętnych Huculów, darzących ją miłością, nie znającą przeszkód, jako też kobiety, która szukała i... znalazła odpowiedni obiekt dla swego gorącego serca i gorącej znacznie pulsującej krwi dziecka świata, bez ojca, matki i ciepła dachu rodzinnego”.

W większości recenzji dobrze komentowano również pozostałe role. Prasa oceniła, że Zbigniew Staniewicz grający Jura może wywołać mocniejsze bicie serduszka nie tylko u przybłędy. Na łamach „Wiadomości Filmowych” pisano: „W tym stroju huculskim jest on zaprawdę czarujący. Młodość, męskość i piękno – to atuty Zbigniewa Staniewicza. Rasowa sylwetka nieczęsto wśród polskich aktorów spotykana”. Z nieskrywanym podziwem przyjęto rolę Stanisława Sielańskiego, który odegrał Głupiego Wasyla. Jego grę aktorską uznano za objawienie nowego talentu charakterystycznego i przyrównywano go do Lona Chaneya, „człowieka o tysiącu twarzach”, znanego z filmu *Dzwonnik z Notre Dame*. Pozostałe role przypadły w udziale Jadze Borycie w roli Horpyny, żony Dmetro, Feliksowi Żukowskiemu w roli Dmetro i Zygmuntowi Chmielewskiemu w roli Wójta. Doceniano również udział huculskiej ludności, bowiem, jak podkreślano, po raz pierwszy w polskim filmie operowano tłumem.

W jednym z wywiadów Ina podkreślała swoje zaangażowanie w realizację filmu. Przytaczała sytuacje, w których reżysero-

wi trudno było zapanować nad huculskim, często się buntującym tłumem. Jednak jej uśmiech i prośba sprawiły, że hardzi Huculi odpuszczali. Podkreślała, że Huculi kochali ją jak dziecko swojej wsi, a i ona sama mocno się do nich przywiązała. Zażyłość między nią a Huculami, którzy asystowali przy zdjęciach powodowała gwałtowne sceny zazdrości. Oto pewnego razu, gdy kręcono scenę miłosną, w której filmowa Maryjka całowała się z Jurem, z tłumu Huculów wypadł rosty mężczyzna i silnie odepchnął od niej aktora. Omal nie doszło do bójki, ale Ina wykorzystała swój urok do pogodzenia zwaśnionych stron.

Dramatyczne zwroty akcji były nie tylko elementem fabuły, ale miały miejsce również na planie filmowym. Teren górski okazał się dużym wyzwaniem dla aktorów i ekipy filmowej. Reżyser kazał wdrapywać się na wysokie szczyty gór i przełęcze tylko po to, by zdobyć malownicze tło filmowe. W wywiadzie aktorka opisywała groźną scenę, kiedy przypadło jej w roli znaleźć się wśród rozszalałej rzeki niszczącej wszystko, co stało na drodze. Z tej opresji wybawili Inę koledzy z planu i Huculi, ale nie uniknęła skaleczeń zawadzając o ostre kamienie. Drugą niebezpieczną sytuacją, która na zawsze zapadła w pamięć aktorki, była scena, w której tłum Huculów miał dokonać na Maryjce linczu. Jednak Huculi tak się wczuli w swoją rolę i z takim impetem rzucili na aktorkę, że zemdlała z bólu.

Fabuła poruszała zagadnienie obcości i inności w huculskiej kulturze, ale i ekipie filmowej przyszło się na początku zmierzyć z nieprzychylnym nastawieniem miejscowych Huculów. Reżyser tłumaczył w jednym z wywiadów, że dla Hucula obcy znaczy to samo, co wróg. Z tego powodu ekipa filmowa przyjęta została dosyć nieufnie, a wręcz, jak twierdził reżyser, starano się jej wszelkimi możliwymi sposobami zaszkodzić. Pełna zapału ekipa filmowa zaraz po przybyciu do Żabiego rozpoczęła starania o wypożyczenie strojów. Huculi nie rozumiejąc zamiarów



Huculski orszak weselny.
Narodowe Archiwum Cyfrowe

Maryjka i Wójt (Zygmunt Chmielewski) w drodze z jarmarku. Obok wozu Dmetro. Narodowe Archiwum Cyfrowe

obcych przybyszów odnieśli się do tych prób niechętnie. Członkowie ekipy filmowej musieli wytłumaczyć im, że będą robić „żywą fotografię”, a Huculi będą mogli zobaczyć się w ruchu. Po dwóch dniach udało się skompletować stroje. Zespół aktorów przebrany w huculskie odzienie niewiele różnił się od miejscowej ludności, jeden z filmowców wspominał: „Pozdrawiano nas przyjętym miejscowym zwyczajem, dziwiąc się tylko, skąd wzięli się tak liczny orszak o nieznanym im bliżej twarzach”. Minęło kilka dni, nim nieufni Huculi przyzwyczaili się do obcych i zrozumieli w jakim celu przybyli. Zanim tak się jednak stało, miały miejsce zabawne sytuacje, np. „prawdziwy popłoch wśród Huculów wywołał aparat filmowy o jednym oku obiektywu. Kiedy operator Albert Wywerka rozstawił trójnog i przygotowywał się do zdjęć, otaczający nas Huculi rzucili się do ucieczki i musieliśmy długo tłumaczyć im, że jest to niewinny instrument, który im nie przyniesie zła”. Reżyser z przekąsem zauważył, że gdy tylko Huculi spostrzegli, iż mogą dobrze zarobić na pomocy, to ich stosunek do przybyszów uległ radykalnej poprawie. Koniec końców obcy, początkowo nieufni, strony zaczęły pałać do siebie sympatią. Huculskie serca zostały podbite nie tylko przez urodziwą Inę Benitę, ale również Staniewicz znalazł liczne grono adoratek. Zaś Chmielewski, grający na planie wójta, tak zaimponował Huculom, że błagali go, aby został prawdziwym wójtem Żabiego.

Realizację filmu utrudniała również pogoda. Filmowcy odczuwali brak słońca, przez który nieraz cały dzień nie wykonali ani jednego zdjęcia. Aktorzy w pełnej charakterystyce oczekiwali od rana na przebłyki słońca. W wyniku tego bardzo szybko wyczerpano zapas szminek, które pośpiesznie musiano sprowadzić z Warszawy.

Produkcja odniosła spory sukces. *Przybłądę* nazywano jednym z najpiękniejszych polskich filmów. Na łamach prasy informowano, że o *Przybłądę* ubiegały się biura filmowe z Czechosłowacji, Rumunii, Jugosławii,



Węgier, Francji i Danii. W tym ostatnim kraju rzeczywiście doszło do dystrybucji filmu w wielu kinach. Prasa duńska przyjęła film doskonale, a szczególną uwagę zwracała na wysokie walory folklorystyczne i artystyczny poziom obrazu.

Na koniec warto jeszcze wspomnieć o niedostatkach filmu i krytycznych opiniach. Oprawę muzyczną skomponował prof. Jan Maklakiewicz. Muzyka została oceniona bardzo pozytywnie nawet w najbardziej kąśliwych recenzjach, choć wydaje się, że niewiele miała wspólnego z autentyczną huculską muzyką. Jednak żaden z ówczesnych krytyków nie podniósł tego argumentu. Krytyczne uwagi odnosiły się również do tego, że główni bohaterowie mówią nazbyt po „inteligencku”. Benicie zarzucano zaś, że „ze swoją utlenioną i wiecznie zaondulowaną główką oraz wymową z Adrii czy Gastronomii, czyniła albo dysonans albo komiczny efekt”. W całym filmie nie uświadczymy huculskiej gwary. Mimo iż obraz filmowy jest starannie zrealizowany pod kątem ujęć plenerowych i detalicznego oddania huculskich strojów, to jednak brak tych dwóch bardzo istotnych dla huculskiej kultury elementów sprawiał, że współcześni miłośnicy Huculszczyny mogą być rozczarowani. Docenić należy jednak fakt, iż akcja filmu została przeniesiona na kosowski jarmark, dzięki czemu po raz kolejny mogliśmy obserwować autentyczny obrazek z huculskiego życia. Możemy jedynie ubolewać nad faktem, że ówcześni filmowcy nie dysponowali kolorową techniką i nie mogli w pełni oddać uroku połyskującej barwami Huculszczyny.

Tadeusz Śliwiak

Kolejny raz na łamach „Cracovia-Leopolis” prezentujemy wiersze znamienitego poety wywodzącego się ze Lwowa – Tadeusza Śliwiaka. Tym razem na prośbę pani Anny Krupskiej-Śliwiak, która stwierdziła, iż wiersze Śliwiaka powinny przypomnieć nam o 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej. Tadeusz miał wtedy 11 lat.

Metryka

kim był twój ojciec – pytają
mój ojciec był żołnierzem
opowiedz nam coś o nim
nie znałem go – poległ na wojnie
gdzie się urodziłeś – pytają
urodziłem się na Westerplatte
i pod Kutnem i pod Omskiem
w Warszawie i nad Oką
w Narwiku w Tobruku pod Monte Cassino
w Kołobrzegu i nad rzeką Odrą

kim jesteś – pytają
jestem polskim żołnierzem

(z tomu „Czytanie mrowiska”, Czytelnik,
Warszawa 1969)

Wrześniowy rapsod

Przebudzeni do wojny o świcie
Napadnięci na własnej ziemi
Zdani tylko na siebie
Pod niebem ciężkim od warkotu maszyn
Szli z żelazem na żelazo
Odpierając pancerne ataki

Ich dowódcą ich generałem
Była śmierć w drelichowym mundurze
Ona zawsze blisko żołnierzy
Ona z nimi w okopach i w polu
Ona każdą bitwę wygrywa
A pijąc wodę z przestrzelonych hełmów
Nie może ugasić pragnienia

Ich ręce chciwe ognia
Pomnażał maszynowy karabin
A kiedy milkł – dobyli szabel
Aby ciąć ruchomy horyzont

Słońce – wrześniowe słońce
Wyostrzało światło ich broni
Coraz niższe niebo nad sobą
Zastaniali jedliną zieloną
W lasach szukali pomocy
Ale las odpowiadał im głosem puchacza
Krwawił żywicą
A wszystko co mógł im dać
To tylko brzoźowej kory bandaż biały

Na północy
W zaciśniętej do bólu pięści Westerplatte
Zamykali ostatnią nadzieję
Pancerny pociąg przemocy – Schleswig-Holstein
Wysyłał z morza ogniste wyroki
Żołnierz ginie od kuli
Lecz na tych piętnastu
Ileż ton stali musiał rzucić wróg

Dziś – gdy latami odliczony
Czas wysokiego ognia wojny
Kiedy wiatr rozwiął z pół bitewnych dym
Kiedy niebo nie jąka się dzwonem
Kiedy na brzegach tej ogromnej rany
Zaschła sól piekąca
Dziś
Unieśmy wysoko pamięć tamtych dni
Pamięć całą w bliznach

Przybywajcie Żołnierze Września
Przybywajcie na Apel Poległych
Niechaj przy cieniu stanie cień

Jaka głęboka noc pamięci
Z tą jedną świecącą jasno gwiazdą – Polską

(z tomu „Znaki wyobraźni”, Wydawnictwo Literackie,
Kraków 1974)

Stanisława Kolbuszewska

WSPOMNIENIA Z ZAPOMNIANEJ SZKATUŁKI

Rozmowa zarejestrowana 7 września 2010 r.

Autorka tekstu, Stanisława Kolbuszewska (1930–2017) była moją „przyszywaną ciotką”. Zawsze lubiłem słuchać jej opowieści brzmiących śpiewnym wschodnim akcentem. W końcu urodziła się nie byle gdzie, a w Kołomyi! Po wojnie osiadła z rodziną w Rozwadowie nad Sanem, a po studiach w Krakowie. Tu zmarła, a pochowana została w grobie rodziców na Cmentarzu Rozwadowskim. W rodzinie opowiadało się, że przybyli z Kołomyi, gdzie ledwo przetrwali tragedię II wojny światowej – o czym opowiada. Rzeczywiście, nigdy nie dała się namówić na wspomnienia z Kołomyi. Kiedy przywoziłem wykonane w jej rodzinnym mieście fotografie, patrzyła ze wzruszeniem. A potem powiedziała: „Ja tam nigdy już nie pojedę”. Poniższy tekst powstał z inicjatywy dr Marii Głowackiej, amerykańskiej uczoney, zbierającej materiały porównawcze do swej pracy naukowej. (jmp)



Mój ojciec był kolejarzem i pracował w rejonie Kołomyi i Śniatyna. Gdy rozpoczęła się wojna, ludzie, z tego co słyszałam, byli bardzo zdziwieni i zaskoczeni. Tak to szybko się stało. Wszyscy spodziewali się Niemców, a tu wkroczyli Rosjanie! Było ich bardzo dużo. Szli i szli! Zajęli cały teren Polski wschodniej! Potem się dowiedzieliśmy, że Stanisławów był zajęty i Lwów też zajęty... Byli dobrze uzbrojeni, pamiętam jadące czołgi. Dzieciom nic nie robili, starsi ludzie się bali, pamiętali I wojnę światową i wojnę z bolszewikami w 1920 roku. Ta sowiecka okupacja trwała do 1941 roku, później Niemcy przyszli. Rosjanie byli przez dwa lata, zajęli miasto, przyjechały Rosjanki, bo niektórzy wzięli ze sobą żony. Wojsko zajęło koszary polskie. Była okupacja, było ciężko. Była bieda, nie było jedzenia, bo ludzie nie zdolali zrobić zapasów. Już nie pamiętam, czy za polskie pieniądze można było kupować, czy za ruble? Pamiętam, że chodziłam do kolejki. Było nas troje: siostra,

brat i ja... Tamci się bali iść, a ja wstawałam rano i szłam do kolejki, i nieważne, że zima była, mróz, chodziłam do kolejki, żeby kupić chleb. Później było tak, że jak ktoś nie miał przepustki, to nie mógł po zmroku ani o świcie, kiedy było jeszcze ciemno, wychodzić z domu. Jak mój ojciec wracał z pracy o różnych porach, to musiał mieć taką przepustkę. Inaczej musiałby czekać na kolei, aż zacznie się dzień. Rosjanie byli różni. „Starszyna”, żołnierze z pagonami, oficerowie, z nimi bardziej można się było dogadać. Natomiast z takim biednym wojskiem, żołnierzami, którzy jedli zupełną ziemiaką z kotłów, taką byle jaką, i zazwyczaj nie mieli dobrego obuwia, zresztą tak samo jak my, to z nimi trudno było się dogadać, oni mogli zastrzelić człowieka z byle powodu! Na przykład nie okazał przepustki, że może iść w nocy, podczas godziny policyjnej. Oni się nie zastanawiali!



*
W tych latach raczej nie zabijali nikogo. Były natomiast wywózki. To groziło także naszej rodzinie, nie zdążyli jednak. Zimą do pociągów pakowali ludzi, do towarowych wagonów bydłowych. Trzeba było jechać, wyboru nie dawali. Nie zdążyli wszystkich wywieźć... Tak samo było w Stanisławowie i na Wołyniu. Później to znów oni uciekali, bo Niemcy przyszli. Rosjanie się cofali. Ale jak przyszli Niemcy, to Ukraińcy zaczęli działać. I nie wiadomo, co było gorsze... Ukraińcy zaczęli wydawać Polaków Niemcom. W mieście, w Kołomyi, można było przetrwać, było bezpieczniej. Nie było tych bandytów, tych banderowców, oni ukrywali się w górach, w pobliskich Karpatach. Byli tam także za czasów okupacji rosyjskiej. Zabijali też Rosjan. W mieście powinien być grób żołnierzy rosyjskich, którzy zostali zabici przez Ukraińców.

Kiedy wkraczali Niemcy, a szli z nimi też Węgrzy, zginęła tragicznie moja siostra. Została porażona prądem. W czasie działań wojennych ze zniszczonej trakcji elektrycznej nie odłączono prądu. Ona gdzieś w te druty się wplątała i nie było dla niej ratunku. Niedaleko domu, to było dla nas takie smutne. Ona była z 1928 roku, a ja z 1930. Pamiętam, jak ksiądz jezuita przyjechał i pochował moją siostrę. Ale tam już nie ma grobu, to były ziemne mogiły. Zostały zniszczone... Trumna była ze zwykłych desek. Lepiej o tym nie mówić, to są okropne rzeczy. Później wszystkich jezuitów Rosjanie wywozili na Sybir.

*
Za okupacji rosyjskiej chodziliśmy do szkoły polskiej, razem z Rosjanami. Można się było uczyć języka polskiego, potem uczone nas też rosyjskiego. Rosjanie w stosunku do polskich dzieci zachowywali się bardzo dobrze. Natomiast Ukraińcy, jak tylko przyszli Niemcy, drugi raz dali znać o sobie. Pamiętam takie dramatyczne wydarzenie, podczas którego osoby z mojej rodziny zginęły. Wyjechali poza Kołomyję samochodem i Ukraińcy wrzucili granaty. Wybuch i po wszystkim! Zginęli ludzie, spalił się samochód. Wszystkich pozabijali!

Najgorzej było, kiedy przez miasto i okolice przechodził front. To już czas, kiedy Rosjanie wypierali Niemców na zachód. Wtedy się nie chodziło do szkoły. W domu się siedziało. To był też czas najgorszego głodu. Nie było nawet ziemniaków. Pamiętam, że jedliśmy placki z łup ziemniaczanych. Miałam wtedy 11–12 lat. Ciężko było, ale jakoś się przetrwało. Czasem od wojska z kotła dostało się jakąś zupę ziemniaczaną, ale i im też ciężko było. To wojsko było biedne.

*
Wszyscy marzyli o tym, żeby przetrwać wojnę. Starsi mówili coraz częściej, że się skończy i w końcu to się stało. Mój wujek był w Wojsku Polskim, w 1939 roku poszedł na wojnę, był internowany na Węgrzech. Jak to wszystko się zaczęło kończyć, przyjechał, ale chory na nerki. Nie było dla niego ratunku, nawet polscy lekarze nad Sanem nie uratowali go, bo nie mieli żadnych lekarstw.

*
W tym czasie – wszystko co było, to się wyprzedawało. W domu nie było pieniędzy. Jak była ziemia, to chłopci sadzili ziemniaki i inne płody. Były kartki żywnościowe, szło się do kolejki. W tym tylko ja się sprawdzałam, bo byłam sprytna. Szłam i wszystko kupowałam, co się tylko dało. Była kolejka za chlebem, stałam po chleb, jakoś się tam wsunęłam i kupiłam ten chleb. A braciszek, on był młodszy, on siedział w domu, bo nie było obuwia. Dlatego jeden musiał siedzieć w domu, a drugi szedł. To były straszne czasy, ale musiało się to jakoś przeżyć. Teraz są tylko smutne wspomnienia, bo jeżeli moja siostra zginęła, jeżeli mojego kuzyna mordują Ukraińcy, jeżeli mój stryj kolejarz ginie w katastrofie kolejowej spowodowanej wybuchem, to tylko żal serce ścisną. Mój dziadek przyjechał do Lwowa z Warszawy. Tam trudno się żyło pod rosyjskim zabo-



Kołomyja, targ
(fot. z zasobów NAC)

do nich o to wielki żal. Mam wielki żal, że wojna wybuchła, że zniszczyli nasze dzieciństwo, że zniszczyli nasze życie, nasze domy, zabrali nam naszą polską ziemię, tyle cierpień, tyle śmierci. Wszyscy nas niszczyli, Niemcy, Rosjanie i Ukraińcy. Ukraińcy najgorzej, bo mordował sąsiad sąsiada. To było nie do pomyślenia! Niech te wojny

rem. Potem zamieszkał w Kołomyi. Miał trzech synów. Wszyscy zginęli! Ten, o którym mówię, prowadził pociąg ze zbożem. Tory były zaminowane przez partyzantów. Wszystko poleciało w powietrze! On nie przeżył katastrofy.

*

Ludzie w czasie wojny sobie pomagali, bo nie przetrwaliby wojny. Nawet tam, w więzieniu, gdzie siedziała pani Karolina Lancorońska – ona przeszła przez więzienia we Lwowie, Stanisławowie i Kołomyi. Każdy, kto widział Rusków czy Niemców, dorosły czy dziecko, schodził im z drogi, uciekał byle dalej od nich. Kiedyś byłam w sklepie na zakupach, usłyszałam strzelaninę, strzelali Niemcy, schowałam się za jakimś domem i przeczekałam. To była łapanka. Mnie udało się jej uniknąć. Nie złapali mnie! W Kołomyi byliśmy do końca wojny. Później przyjechaliśmy do nowej Polski, bo już był podział. Rosjanie dostali teren do Przemyśla.

Wybaczenie...? Można komuś wybaczyć, bo to ludzie byli, ale ci ludzie też byli związani – Niemcy z Hitlerem, Rosjanie ze Stalinem. Tak na to trzeba patrzeć. Rosjanie mieli cukierki dla dzieci i nam dawali, ale inni, nasi rodzice, mówili, żebyśmy nie brali, bo to wszystko może być niepewne. Ja może i wybaczam wszystkim, ale Ukraińcom nie potrafię. Niech sobie tam żyją. Ja nie byłam tam nigdy po wojnie i nigdy nie pojedę. W Kołomyi cmentarz był, taki piękny polski cmentarz. Była tam znajoma i jeszcze mojej mamusi mówiła, że ten cmentarz został zniszczony. Zniszczyli wszystko! Jakież domy w tym miejscu wybudowali. Mam

ustaną! Ciężko było przeżyć wojnę, kto doświadczył, ten wie. Niech tam żyją wszyscy zdrowi, ale ja nie chcę tam jeździć, nie chcę z nimi się spotykać i rozmawiać. Za dużo gorzkości, za dużo żalu. W Horyńcu ksiądz ze Lwowa wmurował tablicę i wymienił, kto zginął z Polaków, kto z Ukraińców, po to, żeby była zgoda, żeby to, co zrobili Ukraińcy Polakom, nigdy się nie powtórzyło. Ale to jest niemożliwe, przecież gdyby Ukraińcy mogli, to i dzisiaj wydrapaliby nam oczy! Ja to przeżyłam, uczyłam się historii i wiem, że to, co się stało w czasie ostatniej wojny, to nie pierwszorzędna. Dzisiaj dzieci nie uczą się historii, jutro politycy wszystko im wmówią.

*

Namawiali mnie, nawet rodzina, żebym jednak pojechała do swej Kołomyi. A ja nawet nie chciałam za bardzo opowiadać o swych przeżyciach wojennych. Kiedy już postanowiłam się wybrać na wycieczkę na Kresy, znajoma lwowianka powiedziała: „Niech pani nie jedzie, my byliśmy tylko jeden dzień i szybko uciekaliśmy, bo to straszne było”. Wspomnienia wracają, przychodzą piękne myśli o dzieciństwie, ale zaraz potem te straszne obrazy, które tyle razy nie pozwalały przespać spokojnie nocy. A przecież nie może być tak, żeby człowiek, który przeżył to, co stało się na Kresach, nic nie myślał i zachowywał się jak turysta, któremu wmawia się, że Lwów, Kołomyja, Stanisławów i cała reszta Kresów to przastare ziemie ukraińskie. Ja bym tam tylko płakała, bo cóż więcej, ale przecież całe życie nie można płakać, choć nieraz się zapłaczę. Ale trudno – wojna była i tak niewiele wtedy od nas zależało.

Paweł Brzegowy

Z ratunkiem dla kaplicy Krzyżanowskich



Jednym z ciekawszych projektów zrealizowanych w pracowni ukraińskiego architekta i inżyniera budowlanego Jana Lewińskiego (1851–1919) jest mauzoleum Krzyżanowskich na Cmentarzu Łyczakowskim, w monografii najwybitniejszego znawcy jego historii S. Nicieji opisana jako kaplica Cetnerów lub inaczej kaplica z chimerami. Lewiński – uznawany za twórcę huculskiej secesji, wychowanek Akademii Technicznej we Lwowie (późniejszej Politechniki Lwowskiej), wykorzystując bogactwo ukraińskiej sztuki ludowej, z pietyzmem zaprojektował wiele domów mieszkalnych i obiektów użyteczności publicznej, po dzień dzisiejszy wzbudzających zainteresowanie i podziw osób przybywających do dawnej stolicy Galicji. Był m.in. współautorem gmachów ukraińskiego Towarzystwa Kredytowego „Dniestr” i Polskiego Towarzystwa Muzycznego czy

willi Placyda Dziwińskiego. Dokonał przebudowy pałacu Siemieńskich-Lewickich, Hotelu George, klasztoru ss. Sacré-Coeur i wielu innych. Neogotycką kaplicę grobową rodziny Krzyżanowskich według projektu architekta Jana Tomasza Kudelskiego (1861–1937) – wykładowcy Szkoły Przemysłowej we Lwowie, uczestnika obrony Lwowa, zbudowano na początku lat 90. XIX w. na miejscu zajmowanym wcześniej przez kaplicę Cetnerów. Kudelski po zakończeniu współpracy z Julianem Zachariewiczem otrzymał posadę kierownika biura architektonicznego w przedsiębiorstwie J. Lewińskiego. Pracą zawodową oprócz Lwowa związany był ze Stanisławowem (Iwano-Frankiwskiem) i Warszawą, do której wyjechał po zakończeniu I wojny światowej. Detale rzeźbiarskie mauzoleum Krzyżanowskich wykonał przypuszczalnie twórca elewacji i zdobień



Kaplica Krzyżanowskich (sierpień 2019 r.)

wnętrza pałacu Fredrów w Bieńkowej Wiszni Piotr Witalis Harasimowicz (1857–1914).

Nieremontowana od lat, położona niedaleko od Górki Powstańców styczeńskiej kaplica Krzyżanowskich przedstawia obecnie posępny i pełen zatruwienia widok. Niewątpliwie jest jednym z najbardziej zrujnowanych mauzoleów nekropolii Łyczakow-



Jan Tomasz Kudelski (1861–1937) i Jan Lewiński (1851–1919) – architekci Kaplicy Krzyżanowskich

skiej. Przedostające się przez nieszczelny, ulegający korozji dach wody opadowe oraz pozabawione witraży okna, z wyjątkiem fragmentarycznie zachowanego na suficie ornamentu roślinnego, zniszczyły pokryte polichromią tynki wewnętrzne. Umieszczony na południowej ścianie kaplicy ołtarz w wyniku oberwania, podobnie jak gipsowa dekoracja sufitu, rozbił się na drobne elementy zalegające na posadzce. Wewnątrz kaplicy widoczne są wykwyty grzybów pleśniowych oraz zawilgocenia tynków. Cegła na zewnętrznych ścianach mauzoleum, szczególnie w jego górnej części, uległa wyraźnej korozji materiałowej. Poważnym zagrożeniem jest również postępująca korozja biologiczna, zauważalna m.in. na wykonanym z piaskowca cokole kaplicy. Cieszy zatem bardzo fakt, że w lipcu br. Narodowy Instytut Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą – Polonika rozpoczął mający zakończyć się w 2020 r. projekt renowacyjny, którego

koszta oszacowano na 1,65 mln zł. Po naprawieniu dachu specjaliści przystąpią do konserwacji współcześnie trudno dostępnej cegły tzw. deszczówki, metaloplastyki i ceramiki oraz odtworzenia ołtarza. Prace zrealizuje działające od 2004 r. podwarszawskie przedsiębiorstwo Monument Service, które wcześniej wykonało m.in. konserwację i restaurację elewacji Zamku Średniego Muzeum Zamkowego w Malborku oraz prace budowlano-konserwatorskie w świątyni Diany w Łazienkach Królewskich w Warszawie.

Krypta kaplicy Krzyżanowskich jest miejscem spoczynku m.in. adwokata dra Stanisława Krzyżanowskiego (1818–1899) – dyrektora Galicyjskiego Banku Kredytowego, Teofilii Teodory z Targowskich primo voto Krzyżanowskiej, secundo voto Kalicińskiej (1829–1890) i Stanisławy z Krzyżanowskich Pokornowej (1885–1926).

Dyoniza z Zawadzkich Wieczffińska

Listopadowe dni we Lwowie

Z Potoka wyjechałam 31 października 1918 roku. Jazda nie była łatwa. Z rozpadającego się frontu wojennego żołnierze armii austriackiej, rzucając broń, starali się dostać w rodzinne strony. Był to przecież zlepek wielu narodowości – pociągi były przepelnione żołnierzami jadącymi w najrozmaitsze strony. Niektórzy, jak na przykład Czesi, okupowali wprost całe pociągi i uzbrojeni jechali wyswobadzać swoją ojczyznę spod długoletniej okupacji austriackiej. To samo robili Węgrzy.

Siedząc w Potoku, na uboczu linii kolejowych i pozbawieni w ostatnich czasach często poczty i gazet, nie zdawaliśmy sobie sprawy z wypadków, które zaszły w ostatnich dniach października.

W ścisiku i tłoku, wśród podnieconych rozmów tłumu różnojęzycznych żołnierzy w pociągu, który poruszał się ślimaczym tempem, właściwie bez rozkładu jazdy – od stacji do stacji – jechałam w kierunku Lwowa, oszołomiona tym, co widziałam i słyszałam.

Po wielu godzinach takiej jazdy im bardziej zbliżaliśmy się do Lwowa, tym bardziej nastrój ludzi wsiadających do wagonów lub stojących na stacjach stawał się jakiś podniecony i pełen niepokoju. Coraz częściej słyszałam wokół siebie szepty i rozmowy o niepokojach pośród ludności ukraińskiej i nastawieniu do Polaków.

Żołnierze Polacy, wsiadający do pociągu, aby się dostać do Małopolski Wschodniej, opowiadali, że po drodze zostali rozbrojeni przez ludzi noszących niebiesko-żółte opaski. Z wielogodzinnym opóźnieniem dojechaliśmy do małej stacyjki Persenkówka, która była ostatnim przystankiem przed Głównym Dworcem Lwowa.

Oświadczone nam, że pociąg dalej nie pojedzie, we Lwowie wybuchło powstanie ukraińskie i Dworzec Główny znajduje się prawdopodobnie w rękach ukraińskich.

Wsiadłam i stanęłam bezradna, nie bardzo wiedząc, w jakim kierunku ruszyć, aby



się dostać na piechotę do miasta. Obok mnie stali dwaj poczcivie wyglądający żołnierze austriaccy, Polacy, oni też wybierali się w stronę miasta, gdyż chcieli się dostać do swoich rodzin. Puściłam się razem z nimi w drogę. Znali dobrze podmiejskie tereny Lwowa, postanowili obejść okolice Dworca Głównego, skąd dochodziły odgłosy strzałów karabinowych. Boczny ścieżkami wyszliśmy na koniec ulicy Potockiego.

Zmierzchało się, bramy domów były pozamykane, przemykały się jednak postaci mężczyzn. Niektórzy byli już uzbrojeni. Tu dowiedzieliśmy się, że rzeczywiście o Dworzec toczyła się walka, gdyż Ukraińcy podstępnie obsadzili go swymi uzbrojonymi ludźmi. Został jednak odbity i w obecnej chwili cała ta część miasta, tj. od Dworca do Poczty Głównej, znajduje się w rękach Polaków.

Zrozumiałam, że do Tunia (Wojciech Zawadzki – najstarszy brat), który mieszkał przy ul. Kopernika 5, nie będę mogła się dostać. Wiedziałam jednak, że we Lwowie przy ulicy Nabelaka bocznej mieszkają wujostwo Jankowscy. Było to więc niedaleko i wkrótce zadzwoniłam do ich mieszkania.

Wujenka powitała mnie z przerażeniem. Była we dwójkę z Niną, gdyż Wuj, który przebywał jako rezerwowy oficer gdzieś aż na granicy Albanii, nie dojechał jeszcze do domu, a Henio był wtedy w szkole oo. Pijarów pod Wiedniem. Tu dowiedziałam

się o wypadkach, które świeżo zaszły we Lwowie. Niestety, o tym, aby się dostać do Tunia, nie można było na razie marzyć, a o szczegółach śmierci Sławka Wujenka nic nie wiedziała.

Mój smutek i żal zeszyły jednak na drugi plan, byłam zanedo przejęta losem Lwowa i rozpoczętą wojną między Polakami i Ukraińcami. Sama myśl, że chcą oni zająć to miasto, z którym tak byłam zżyta i które było zawsze bastionem polskości, rozpałała we mnie nie tylko oburzenie, ale chęć udziału w jego obronie.

Zaraz drugiego dnia rano, pomimo oporów Wujenki, która była bardzo wystraszona i Niny na krok z domu nie wypuszczała, wybiegłam na miasto. Miałam dość dużo znajomych w tej dzielnicy Lwowa.

O parę ulic dalej, na Technicznej, mieszkali Szawłowscy. Tam się też udałam po informacje. Po ulicach trzeba było przemykać się chyłkiem. Kule karabinowe świsnęły, a największą strzelaninę słychać było od okolic Poczty Głównej. U Szawłowskich przyjęto mnie z radością – wszystkie trzy pracowały przygotowując bandaże, opatrunki dla organizującego się na gwałt szpitala wojskowego w budynku Techniki.

Najwięcej ucieszyła mnie wiadomość, że są we Lwowie pani Kallenbachowa z Julą. Pani Kallenbachowa organizowała Centralną Kuchnię dla wyżywienia walczących. Znalazłam ją przy ul. Issakowicza, gdzie w budynku w ogrodzie (może to była jakaś ochronka lub internat) starała się urządzić dużą kuchnię, skąd miano roznosić kawę i zupę dla tych, którzy nieraz przez kilkanaście godzin bez przerwy spędzali na posterunku. Otoczona była licznym gronem chętnych pań, które podejmowały się każdej pracy.

Niesłychane usługi oddawali też mali chłopcy po 9, 10 lat, którzy mieszkowali po całej dzielnicy, wyszukując jakieś dawne kwatery lub magazyny wojsk austriackich i znosząc stamtąd konserwy, naczynia i inne niezbędne narzędzia kulinarne, których było brak.

Ci sami chłopcy bez szemrania godzinami pomagali obierać kartofle (nazywano ich „wojskiem kartoflanym”), czego na pewno w domu chętnie by nie robili. Najwięcej chętnych było do roznoszenia zupy na posterunki; była to czynność wymagająca odwagi, gdyż nierzadko musieli dotrzeć do najdalej wysuniętych placówek.

Jula pomagała matce, ale już po paru godzinach doszliśmy do przekonania, że to nie jest praca dla nas; mogłyśmy gdzie indziej być bardziej potrzebne. Wiele kobiet zgłaszało się do szeregów i brało udział w walkach z bronią w rękę, ale to nam nie odpowiadało, wolałyśmy wybrać służbę sanitarną frontową. Zgłosiłyśmy się więc do szefa sanitarnego przy Głównej Komendzie Obrony.

Komendantem Obrony Lwowa był brygadier Mączyński (dawny legionista). Nie pamiętam nazwiska doktora, który był szefem sanitarnym. Po zgłoszeniu się w jego komendzie polecono nam zorganizować punkt opatrunkowy na Dworcu Głównym; znajdująca się tam załoga nie tylko pilnowała Dworca, ale robiła wypadki wzdłuż torów biegnących na wschód i na zachód.

Szczególnie ważną rzeczą było odrzucanie band ukraińskich od torów biegnących na zachód, aby móc nawiązać kontakt z Małopolską zachodnią i głównie z Krakowem.

Miasto Lwów nie posiadało bowiem dostatecznych zapasów ani broni, ani żywności i odcięcie dowozów groziło katastrofą. Dzielnicy kolejarzy nieraz pod gradem kul naprawiali uszkodzone tory. Najczęściej to, co robili za dnia, w nocy znów niszczyli Ukraińcy, którzy zajmowali lasy i wioski z obu stron torów. Straty wśród naszych były duże. Rannych donoszono lub odprowadzano na Dworzec Główny. Należało więc tam urządzić jakąś izbę chorych, gdzie po założeniu pierwszego opatrunku ranni mieli czekać na odtransportowanie ich wozami do szpitala na Technice.

Do tej roboty skierowano kilku medyków i zgłaszające się licznie ochotniczki. Była wśród nich pewna ilość sanitariuszek z wojska austriackiego, ale zamiast służyć nam radą i pomocą, zachowywały się nieodpowiednio, nie chciały podjąć się żadnej cięższej pracy, tak że wkrótce odseparowałyśmy się od nich.

Na izbę chorych przeznaczono jakąś poczekalnię w głównym budynku dworcowym, który był bardzo uszkodzony od pocisków artyleryjskich. Do tej pustej sali dźwigałyśmy na własnych plecach łóżka, sienniki i koce, które znalazłyśmy w jakimś opuszczonym baraku na Dworcu Towarowym. Poczciwi kolejarze grzali nam wodę w kotłach lokomotyw, abyśmy mogły szorować i myć menażki dla chorych. Lwów przez dłuższy czas był pozbawiony wody i elektryczności. Szcze-

gólnie o Persenkówkę, gdzie znajdowała się elektrownia, toczyły się bardzo zacięte walki i dużo rannych stamtąd napływało.

W Izbie Chorych na Dworcu pracowałyśmy stosunkowo krótko. Dla mnie był to okres praktyki pielęgniarskiej – dotychczas mało z tym miałam do czynienia i przyznaję, że pierwsze zetknięcie z ciężko rannymi, robienie opatrunków na świeżo krwawiące rany było dla mnie nie tylko bardzo przykre, ale wprost wstrząsające. Nigdy nie zapomnę pierwszego dyżuru nocnego spędzonego na sali pośród ciężko rannych i umierających.

Jak już wspomniałam, Komenda Obrony Lwowa kładła duży nacisk na odbicie torów na zachód, toteż toczyły się walki o każdy przystanek i każdą stację kolejową, i z każdym dniem oddziały polskie posuwały się w kierunku Gródka Jagiellońskiego. Chcąc ułatwić zbieranie i przewóz rannych z pociągów wzdłuż torów, kolejarze przygotowali kilka wagonów towarowych do celów sanitarnych. Były to zwykłe wagony towarowe, w których umieszczono po 8 par noszy wiszących piętrowo.

Zgłosiliśmy się zaraz do obsługi takiej ruchomej „Czołówki Sanitarnej”. Dano nam na bezpośredniego komendanta medyka, podchorążego Szuberta. Ze wszystkich medyków pracujących na Dworcu odpowiadał nam najbardziej – był solidnym, obowiązkowym i bardzo sumiennym w stosunku do rannych i dalekim od wszelkich flirtów i umizgów. Wkrótce zżyliśmy się bardzo i przez parę tygodni pełniliśmy służbę na odcinku kolejowym Lwów–Gródek Jagielloński.

Nasz wagon, a właściwie naszą połówkę, starałyśmy się urządzić jak najlepiej – miałyśmy piętrowe łóżko, stół i dwa krzesła, szafę na opatrunki i bieliznę, w kącie stołek jako umywalkę, no i piecący żelazny, który miał ogrzewać to nasze lokum, gdyż wieczory i noce stawały się coraz chłodniejsze. W drugiej połowie wagonu mieszkał por. Szubert i miał tam podręczną kancelarię, gdyż każdy ranny musiał być zarejestrowany, a w razie śmierci papiery i legitymacje oddawano do Komendy Głównej.

Jeździliśmy tylko nocą, gdyż w dzień tory były stale pod ostrzałem Ukraińców. Przyjeżdżało się w ciemności (maszyniści starali się aby lokomotywa nie wypuszczała iskier) do sygnalizowanego miejsca. Tam, przy torze czekali ranni, lżej ranni wchodzili sami

do wagonów, ciężko rannych trzeba było na noszach windować do góry, co czasem, gdy nasyp był wysoki, było ciężką pracą.

Po ulokowaniu rannych, „Czołówka” wycofywała się z powrotem na Dworzec Główny. Maszyniści robili to bardzo ostrożnie i cicho, aby uniknąć ostrzału. Nie zawsze to się udawało i nieraz po wagonach sypały się kule jak groch.

Na Dworcu Głównym zabierano przywiezionych rannych do Izby Chorych, a my natychmiast brałyśmy się do porządkowania wagonów, zmiany zabrudzonej bielizny, oczekując następnego alarmu.

Czasami, gdy walki były bardziej zacięte, wyjeżdżało się po kilka razy w nocy. Dopiero rano można było nieco odpocząć, umyć się i zjeść. Dostawałyśmy jedzenie z kotła żołnierskiego: kawy czarnej (zbożowa lura!) nie brakowało, ale chleba wydzielano dość skąpo. Już wtedy liczone się z ograniczoną ilością zapasów żywności w mieście.

W południe maszerowało się z menażką po zupę, która bywała różnaita, raz gęściejsza, raz bardzo wodnista, ale przy takiej pracy i ciągłym ruchu smakowała zawsze.

Czasami jako przysmak dostawało się kawałek mięsa końskiego; najgorsze jednak było „menu”, gdy zamiast kartofli, których zaczęło brakować, gotowali wykę!

Nie napisałam jeszcze dotąd, że z Tuniem zobaczyłam się dopiero w drugim tygodniu mego pobytu we Lwowie. Jak wielu innych Polaków przebywających w części miasta zajętej przez Ukraińców, przedostał się nocą przez zarośla Parku Stryjskiego na stronę polską. Odszukał mnie zaraz i wielką radością z tego spotkania, przyćmiona jednak opowiadaniem o szczegółach śmierci Sławeczka (Władysław Zawadzki, drugi co do starszeństwa brat). Przywiózł je jego ordynans, który po rozbiciu frontu włoskiego odszukał Tunia we Lwowie. Biedny Sławek, wśród bardzo ciężkich walk na froncie włoskim padł ofiarą szalejącej wśród żołnierzy epidemii grypy, tzw. hiszpanki, która była na ogół śmiertelna. Zmarł w szpitalu poza frontem i został pochowany w miejscowości Bruck an der Leiter niedaleko Wiednia (zbiiorowa mogiła zachowana do dziś).

Tunio zgłosił się do Komendy Wojskowej i został przydzielony do służby w żandarmerii polowej. Spotykaliśmy się tylko od czasu do czasu, gdy miałam wolniejszy dzień



Zdjęcie czterech sanitariuszek z pociągu „Czołówka Sanitarna” – Obrona Lwowa, listopad 1918
Od lewej: moja babka Dioniza Zawadzka, Julia Kallenbach (córka prof. Kallenbacha), Maryla Solecka i Anula Załęska

i mogłam opuścić za przepustką „Czołówkę”. Paradowałam wówczas w wojskowym płaszczu przepasanym skórzanym pasem. Na lewym ramieniu opaska biała z czerwonym krzyżem, na głowie czapka wojskowa okrągła (maciejówka) ze srebrnym orłem.

W czasie służby w wagonie wkładałyśmy na nasze cywilne sukienki – chałaty lekarskie. Niektóre starsze panie gorszyły się tym strojem i w ogóle życiem, które prowadziłyśmy. Pamiętam oburzenie p. Z. Nikorowiczowej, gdy dumna ze swojego munduru wpadłam tam, aby zobaczyć się ze Stefą (Mańkowską) i Minuchą (Skrzyńską). Jej zdaniem takie zbratanie z żołnierstwem nie było odpowiednie dla panienek z „dobrego domu”, praca przy rannych – owszem, ale wystarczy, gdy rannych odwiedza się w szpitalu, zanoszą im słodycze i zabawia rozmową.

Myślę, była przerażona, że mogłabym namówić którąś z córek do takiego, w jej pojęciu nieprzystojnego i niebezpiecznego, trybu życia.

Za to byłam rozczulona wzruszającą dobrocią, z jaką mnie przyjął, pomimo żołnierskiego przebrania, x. biskup Twardowski, gdy do niego wybrałam się któreś wolnej niedzieli. Mieszkał wtedy w domach kanonicznych przy katedrze. Miał tam małą kapliczkę, do której nieraz chodziłam, gdyż był moim spowiednikiem. Wcale się nie lękał, że zjeżdżę na „złą drogę” w żołnierskim towarzystwie i tylko prosił, abym uważała na siebie i nie narażała się zbyt. W dniu 22 listopada 1918 roku miasto Lwów przeżywało radosną chwilę: było wolne!!

Odtąd walki toczyły się już poza miastem, uruchomiono wodociągi i elektryczność. Także nasza „Czołówka” robiła coraz dalsze wypady.

Wyjeżdżaliśmy już do miasteczka Gródek Jagielloński, gdzie stał główny sztab wszystkich sił zbrojnych na terenie Małopolski, z generałem T. Rozwadowskim na czele. Była to tzw. Armia Wschód i do tej armii byliśmy przynależni.

Z tego okresu walk muszę zaznaczyć dwa wydarzenia, które najbardziej wbiły mi się w pamięć, dlatego chyba że dały mi odczuć całą groźbę wojny i strach o własne życie.

Jednego z dni wiosennych (dokładnie 5 marca 1919 roku) po południu, czekając na wezwanie do wyjazdu, poszłyśmy do kantyny żołnierskiej znajdującej się na placu Dworcowym, aby łyknąć gorącej herbaty. Tu zaskoczyło nas silne bombardowanie artyleryjskie. Była to rzecz nieoczekiwana, gdyż w ostatnich dniach ta część miasta nie była przez artylerię ukraińską obstrzeliwana.

Wybuchy były coraz silniejsze i coraz bliższe. Gdy na dachu drewnianej kantyny pociski i odłamki zaczęły wyrwać dziury, nie było co dłużej czekać. Wśród żołnierzy przebywających w kantynie powstało zamieszanie, nikt nie mógł zrozumieć co się dzieje.

Wyglądało na to, że jest to huraganowy ogień artyleryjski, który mógł być przygotowaniem do jakiegoś niespodziewanego ataku Ukraińców na Dworzec. Należało za wszelką cenę dołączyć do swoich jednostek, które znajdowały się w różnych punktach Dworca.

Nie było to rzeczą łatwą ani bezpieczną. Cały teren dworcowy był pod ostrzałem: większe i mniejsze odłamki granatów i szrapneli odbijały się o bruk, kule karabinowe świsnęły z różnych kierunków.

Aby się dostać do naszej „Czołówki”, trzeba było przebiec kawałek placu i przejść przez budynek Dworca Towarowego.

Gdyśmy wreszcie odważyły się przebiec wolną przestrzęź, w chwili gdy już, już dobiegałyśmy do drzwi wejściowych, jakiś większy pocisk trafił we framugę i waląca się ściana zamknęła nam przejście.

Przebiegający obok żołnierze krzyknęli, że obok na prawo jest tunel, aby tam się schronić. W tunelu była już spora grupa żołnierzy, wszyscy dyskutowali o tym, co się dzieje i co dalej robić. Jedno było jasne, jeśli jest to atak Ukraińców na Dworzec, to pozostawanie w małych rozrzuconych grupkach jest bezcelowe i niebezpieczne. Trzeba dążyć do połączenia się z jakimś oddziałem.

Tymczasem wybuchy i detonacje wcale nie ustawały. W pewnym momencie jakiś grubszy odłamek czy pocisk rąbnął w szklany kwadrat w sklepieniu tunelu. Obsypało nas szkłem i gruzem. Nie było co dłużej czekać.

Jacyś dwaj starsi żołnierze zajęli się nami. Powiedzieli że znają dobrze teren Dworca, że po wyjściu z tunelu można, biegnąc pod ścianami hali dworcowej (od tyłu), wydostać się na tory biegnące w kierunku Dworca Podzamcze. Jest tam wysoki nasyp, który może być dobrą osłoną. Zachęcali nas, żebyśmy poszły z nimi, że wyjdą pierwsi z tunelu, a my mamy biec za nimi, stosując się do tego, co oni będą robić.

Po krótkim wahaniu wyskoczyłyśmy z tunelu. Odłamki pryskały dookoła, naśladowując naszych przewodników, posuwałyśmy się tuż pod murem, przeskakując szyny druty i zwrotnice.

Za chwilę byłyśmy z drugiej strony Dworca. Tu, za wysokim nasypem, było rzeczywiście dużo spokojniej. W pewnej chwili zauważyłyśmy posuwający się bardzo wolno pociąg towarowy w stronę Podzamcza. Nasi żołnierze wskoczyli na schodki ostatniego wagonu, gdzie stał uzbrojony wartownik. Niestety i on nie wiedział, co się właściwie dzieje. Nie radził jednak czepląc się tych wagonów, gdyż znajduje się w nich amunicja i w razie trafienia jakimś pociskiem może nastąpić eksplozja. Poinformował nas

tylko, że mają rozkaz wycofać się w stronę Podzamcza.

Nasi „koledzy” postanowili dostać się tam, również nam doradzali zboczyć ku miastu, gdzie panował względny spokój. Postanowiłyśmy przejść przez Przedmieście Żółkiewskie i kierować się ku Śródmieściu. Miałam nadzieję, że może dojdziemy do ul. Kopernika, gdzie było mieszkanie Tunia.

Tymczasem zapadł wieczór i miasto tonęło w ciemności. W oknach kamienic nie było światła, bramy pozamykane.

Zdażyłyśmy szybko w stronę ul. Kopernika, gdyż przyszło mi na myśl, że może o tej porze zastaniemy Tunia w jego mieszkaniu. Niestety dozorczyńni oświadczyła nam, że „pan wyszedł jeszcze rano na służbę, jeszcze nie wrócił, mieszkanie zamknięte”.

Stałyśmy niezdecydowane, co robić dalej – włączyć się w nocy po mieście nie miało sensu. Nagle przypomniałam sobie, że bardzo blisko, na drugiej ulicy (Bielowskiego 5) mieszka nasz dobry znajomy dr Bielicki z córką Bibą, przyjaciółką moich sióstr. Za chwilę dobiegałyśmy się do drugiej bramy. Wystraszona stróżowa patrzyła na nas nieufnie, ale wreszcie wpuściła.

Trudno opisać zdumienie kochanego doktora, gdy nas zobaczył w drzwiach przedpokoju! Oboje z córką pomimo późnej pory nie spali, siedzieli w pokoju od podwórza i zastanawiali się z niepokojem, co się dzieje w mieście. Nie bardzo umiałyśmy im to wyjaśnić, opowiadaliśmy im tylko to, co widziałyśmy i co przeżyłyśmy.

Zajęli się nami nadzwyczaj serdecznie, znalazło się zaraz coś do zjedzenia, a potem – co za rozkosz – znaleźć się po umyciu w wygodnym łóżku.

Na drugi dzień zerwałyśmy się wcześniej rano, pilnie nam było zgłosić się w naszej „Czołówce”, względnie dowiedzieć się, co się dzieje na Dworcu. Już na ulicy przez jakichś wojskowych zostałyśmy poinformowane, że prawdopodobnie na skutek zdrady artyleria ukraińska ostrzeliwała teren Dworca Towarowego, gdzie stał ukryty wśród nieczynnych składów pociągów pociąg z amunicją (20 wagonów).

Jeden z pocisków trafił w jeden z ostatnich wagonów, nastąpił wybuch, eksplodujące pociski trafiły w następne wagony, powodując dalsze wybuchy szrapneli, granatów i całych skrzynek naboju karabinowych. Bohaterscy

kolejarze, wśród nieustających wybuchów, z największym narażeniem życia podjechali lokomotywą i pełzną pod wagonami zdołali odczepić płonące już wagony, a resztę tj. 14 wagonów odciągnęli na Podzamcze. Wybuchy szrapneli i granatów, padające odłamki raniły i zabiły sporą ilość ludzi na terenie dworca oraz spowodowały pożary.

Generał Rozwadowski w kilka minut po wybuchu był już na dworcu pogodny i uśmiechnięty, wydawał potrzebne zarządzenia: „Baczność! Pogotowie! nie tracić fantazji, nic złego się nie stało, byle nie dopuścić do zwątpienia i paniki!” Sam jednak wiedział doskonale, że duża część z takim trudem sprowadzonej amunicji została zniszczona, a kilkudziesięciu obywateli i żołnierzy straciło życie.

Szybkim krokiem maszerowałyśmy w kierunku Dworca; byłyśmy bardzo niespokojne o naszego porucznika i załogę. Dostęp do Dworca był zamknięty kordonem wojska, ale po wylegitymowaniu przepuszczono nas. Wkrótce skacząc przez gruzy, uszkodzone tory i pozrywane druty stałyśmy przed naszą „Czołówką”. Jakaż była radość, gdy zastałyśmy porucznika i naszych dwóch sanitariuszy na miejscu zdrowych! Przesiedzieli oni całą tę strzelaninę pod rampą Dworca Towarowego. Oni też serdecznie nas witali, gdyż przez cały czas niepokoił się, co się z nami stało.

Nasze wagony, które stały tuż za tylną ścianą Dworca Towarowego, na szczęście nie ucierpiały bardzo. Tylko blaszane dachy były podziurawione kulami i odłamkami jak sita. Na moim piętrowym łóżku znalazłam ich kilkanaście.

Ładnie bym wyglądała, gdyby ta cała kanonada wybuchła w nocy.

Z naszych znajomych sanitariuszka z drugiej „Czołówki” zginęła – uciekając przez tory, zaplątała się w zerwane druty wysokiego napięcia.

W parę godzin po moim powrocie na dworzec przybiegł mój brat Tunio.

Chyba nigdy w życiu nie widziałam go tak zdenerwowanego i zmienionego na twarzy. Dowiedziawszy się poprzedniego dnia o wybuchu amunicji na dworcu, zwolnił się ze służby (był przeniesiony do żandarmerii polowej, a później jako prawnik do biur Sądu Polowego) i popędził na Dworzec.

Kordon żołnierzy, którym był otoczony dworzec i przylegające tereny, nie prze-

puścił go, a na jego pytania, co się stało z żołnierzami i służbą sanitarną stacjonującą na dworcu, odpowiedziano mu, że wszyscy zostali ewakuowani, a ranni i zabici odstawieni do szpitala na Technice.

Przerażony tymi wiadomościami wrócił do szpitala. Tam przebiegł wszystkie sale, szukając mnie między rannymi, zaszedł nawet do trupiarni. Nie znalazłszy mnie tam, snuł najrozmaitsze przypuszczenia, całą noc błąkał się od jednej komendy do drugiej lub w okolicy drogi dojazdowej do Dworca. Dopiero rano, gdy wybuchy ustały i kordon zwinięto, dostał się na miejsce naszego pociągu i zobaczył mnie żywą i zdrową!

Po raz drugi miałam styczność z bezpośrednią grozą wojny i niebezpieczeństwem zagrożenia życia w Gródku Jagiellońskim.

Zgrupowano tam znaczne siły, miała się rozpocząć ofensywa na Ukraińców, którzy wprawdzie ustąpili ze Lwowa, ale w dalszym ciągu zajmowali obszary po obu stronach torów kolejowych Lwów – Kraków. Wiedzieli przez szpiegów, że Lwów walczy ostatkami żywności i amunicji. Skumulowali więc wszystkie swoje wysiłki, aby miasto zupełnie odciąć.

W dniu 15 marca (1919 roku) rozpoczął się atak na siły Ukraińców z dwóch stron jednocześnie i od strony Gródka Jagiellońskiego, gdzie bezpośrednim dowódcą odcinka był płk Sikorski, i od strony Przemyśla, gdzie były pułki poznańskie gen. Konarskiego, a całą akcją kierował gen. Iwaszkiewicz.

Naszą „Czołówkę” odkomenderowano do obsługi jednostek wojskowych zgrupowanych w Gródku Jagiellońskim.

Dojechawszy do stacji Gródek zajęliśmy miejsce na którymś z bocznych torów i przygotowywaliśmy się do przyjęcia rannych.

Okazało się jednak, że mamy za małą ilość środków opatrunkowych. Nasz komendant, por. Szubert, kazał mnie i Juli Kaltenbach udać się do miasta, do magazynu wojsk po brakujący materiał.

Stacja Gródek jest oddalona od miasta o jakieś 3–4 km. Zabrałyśmy torby na materiały opatrunkowe i żwawym żołnierskim krokiem puściłyśmy się w drogę.

Szosa była zatłoczona taborami, po obu stronach, na polach, wszędzie biwakowały oddziały wojskowe.

Zaledwie usłyszyłyśmy może pół kilometra, gdy usłyszałyśmy warkot silników samolo-

towych, równocześnie na drodze powstał niebывały ruch. Wozy zjeżdżały na pola, furmani zeskakiwali i wślizgi pod wozy, maszerujący żołnierze kładli się do rowów. Byłyśmy tym zaskoczone, gdyż jak dotąd nie miałyśmy okazji być obiektem nalotu samolotów nieprzyjacielskich.

Ukraińcy dotychczas nie mieli samolotów, Lwów nie był bombardowany „z góry”. Widocznie udało im się zdobyć gdzieś stare samoloty austriackie, niektórzy twierdzili później, że dostali je od Niemców.

Przez dobrą chwilę maszerowałyśmy więc dalej szosą, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Dopiero huk pocisku, eksplodującego o kilkadziesiąt metrów przed nami, oraz widok padającej w chwili przebiegania przez szosę młodzieńczej dziewczyny, a także krzyki żołnierzy wołających „siostrzyczki, do rowu, padnij” sprawiły, że jednym skokiem znalazłyśmy się w przydrożnym głębokim rowie, a dla bezpieczeństwa wsunęłyśmy głowy i przód ciała pod mały mostek!

Samoloty potem przeleciały nisko nad drogą ostrzeliwując z broni pokładowej. Zdało się jednak, że z naszych żołnierzy nikt nie został poważnie ranny. Widziałyśmy tylko, jak pociski trafiły w konia przy wozie, który nie zdążył zjechać z drogi. Nasi żołnierze ostrzeliwali samolot z karabinów, ale widać niecelnie, gdyż oba odleciały.

Był to nasz chrzest bojowy, ale nie byłyśmy nim wcale wystraszone, przeciwnie, bardzo dumne i z podniesionymi głowami pomaszerowałyśmy do miasta.

Tam musiałyśmy „przedefilować” wzdłuż kompanii, które właśnie ustawiono do wymarszu do akcji bojowej. Żołnierze byli w pogodnym usposobieniu i przywitali nas gromkimi okrzykami „wiwat siostrzyczki” i zaśpiewali nam popularną wówczas piosenkę wojskową *Magdalena, dziewczę młode*.

Po „wyfasowaniu” środków opatrunkowych już bez przeszkód wróciłyśmy na dworzec kolejowy i zabrałyśmy się do roboty, gdyż wkrótce zaczęły napływać ranni. Gdy wagony nasze były już całkiem przepelnione, najczęściej nocą odwoziliśmy transport rannych do Lwowa i natychmiast po zdaniu rannych wracali do Gródka.

W Gródku stacjonował sztab operacyjny grupy „Wschód”. Tam zobaczyłam głównego wówczas wodza tej operacji gen. T. Rozwa-

dowskiego. Po oczyszczeniu okolic Gródka działania wojenne przesunęły się w kierunku Przemyśla i Chyrowa.

Następnym naszym miejscem postoju był dworzec kolejowy w Chyrowie. Przybyliśmy tam w przeddzień zapowiadanej większej akcji bojowej. Korzystając z paru wolnych chwil, za pozwoleniem komendanta, udałam się razem z Julą do widocznego ze stacji klasztoru oo. Jezuitów, w którym od początku roku szkolnego, tj. od września, przebywał mój młodszy brat Felo (Feliks Zawadzki). Byłam bardzo niespokojna, co się z nim stało, gdyż wiadomo było, że Ukraińcy także i w tych stronach rozpoczęły ruchawkę w dniu 1 XI 1918.

Gdyśmy doszły na wzgórze, na którym wznosił się klasztor, już z daleka widać było, że cały budynek, park i przylegające tereny pełne są naszych wojsk. Przez szeroko otwartą furtę weszłyśmy do budynku i przebiegałyśmy korytarze na próżno szukając jakiegoś księdza jezuity, który mógłby nam powiedzieć, co się stało z uczniami.

W pewnym momencie z jakichś bocznych drzwi wysunęła się postać w sutannie, która widząc dwie umundurowane „kobiety” w dość ostrych słowach zaczęła nas strofować, co tu robimy i dlaczego wdaryśmy się do klauzury.

Oświadczyłam, że wszystkie drzwi stały otworem, że nigdzie nie zauważyłam napisu „Klauzura” i że ostatecznie niczego nie potrzebuję więcej, jak paru słów informacji, co się stało z chłopcami z internatu, pomiędzy którymi mam brata. Po wyjaśnieniu ojciec nieco zmiękł i już grzeczniejszym tonem wyjaśnił, że wszyscy chłopcy – gdy tylko zaistniała obawa ze Ukraińcy wedrą się do Chyrowa – zostali odesłani do rodzin.

Byłam jednak dalej niespokojna, w jakim kierunku pojechał Felo. Do Lwowa nie mógł już dojechać, pozostawało tylko przypuszczenie, że pojechał do naszej siostry Muni, mieszkającej na Bukowinie.

Przyszłość pokazała, że tak było w istocie.

W Chyrowie „Czołówka” nasza stała kilka dni, było bardzo dużo ciężkiej pracy. Ofensywa nasza załamała się na linii frontu o kilkanaście kilometrów na wschód od Chyrowa, było bardzo dużo rannych. Nie mogliśmy wprost nadążyć z opatrunkami, były ciężkie przypadki, nasz „szef” miał pełne ręce roboty przez cały dzień.

Wieczorem, gdy wagony były już całkiem przepełnione i między rozstawionymi noszami z trudem można było się przecisnąć, wyruszyliśmy z transportem do Przemysła, gdzie rannych oddawaliśmy do szpitala. W drodze, szczególnie w miejscu, gdzie tory kolejowe biegły wzdłuż lasów, nieraz nasz pociąg był ostrzeliwany przez bandy ukraińskie ukryte po lasach.

W drodze powrotnej trzeba było wszystko doprowadzić do porządku i czystości, gdyż wiadomo było, że w Chyrowie czekają już nowi ranni.

Był to okres bardzo wyczerpanej i męczącej pracy. Czasami będąc w Przemysłu, gdy po wyładowaniu rannych zostawało nam trochę wolnego czasu do odjazdu, spędzałyśmy go w gościnnym domu pp. Youngów (Jungów). Pani Jungowa, Łozińska z domu, była siostrą mego „szefa” z Potoka. Mąż jej był emerytowanym pułkownikiem austriackim i właścicielem majątku pod Przemysłem. Mieli ładną willę w Przemysłu i gdy tam zjawiliśmy się, nie wiedzieli już, jak mają nas ugościć.

Z wielką przyjemnością korzystałyśmy z łazienki, potem zasiadało się przy suto zastawionym stole i musiałyśmy opowiadać nasze „bohaterskie” przeżycia.

Z tych dni jeden epizod wbił się specjalnie w moją pamięć i po kilku latach dał okazję do wspomnień.

Między innymi transportami, które odbierałyśmy w Chyrowie, przywieziono rannych z I Pułku Ułanów Krechowieckich. Zapamiętałam ten fakt – raz, dlatego że ułani Krechowieccy cieszyli się wielką sympatią, szczególnie wśród młodych panien, a po drugie, że odbierając rannych od eskortującego ich młodego wachmistrza, bardzo się namęczyłam, gdyż byli to przeważnie ciężko ranni, których trzeba było dźwigać, przenosić z noszy na łóżka w wagonie, co wymagało ogromnego wysiłku. Wśród rannych był jeden biedak nieprzytomny, ogromnego wzrostu ułan i odpowiedniej do tego wagi, o nazwisku Słomka.

Dowiedziałam się po wielu latach, że wachmistrem, który tego rannego pomagał mi wnieść do wagonu, był mój późniejszy mąż (Jan Wieczfiiński)!

Tymczasem front przesuwał się coraz bardziej ku wschodowi. Linia kolejowa z Krakowem była już całkowicie uruchomiona.

Wkrótce nadeszły duże posiłki wojskowe, z dalekiej Francji przyjechała doskonale zorganizowana i wyekwipowana armia generała Hallera, tzw. „Hallerczycy”, od Poznania nadjechały pułki Poznaniaków.

Powstające do życia Państwo Polskie budowało swoją armię i zwycięstwo nad częściowo już rozbitym wojskiem ukraińskim stawało się coraz pewniejszym.

Pod koniec wiosny 1919 roku wycofano naszą „Czołówkę” z frontu. Skierowano nas do warsztatów kolejowych w Tarnowie, gdzie miano wagony remontować. Nasz porucznik Szubert pożegnał się z nami, dostał urlop na czas remontu, ale chciał uzyskać przeniesienie do szpitala w Krakowie, aby jednocześnie móc kończyć medycynę.

My też dostałyśmy dwa tygodnie urlopu. Julia Kallenbach zabrała mnie ze sobą do Krakowa. Gdy dwa tygodnie miały się ku końcowi, rodzice Juli sprzeciwili się jej powrotowi – była zawsze delikatnego zdrowia i ta ciężka praca nadwyrężyła jej siły.

Zbierałam się więc do odjazdu sama, w ostatniej chwili zgłosiła się nowa kandydatka na zastępstwo Juli.

Była to Anula Załęska, studentka Wyższej Szkoły Rolniczej, nasza koleżanka z internatu. Obiecałam, że zrobię co będzie można, aby ją przyjęli na miejsce Juli, zresztą sama także cieszyłam się na jej towarzystwo.

W Tarnowie, gdzie zgłosiłam się punktualnie, zastałam wielkie zmiany. Na miejsce naszych trzech wagonów, przerobionych z towarowych na wozy sanitarne, zestawiono cały pociąg sanitarny z dawnych wagonów Czerwonego Krzyża.

Oprócz czterech wagonów z łózkami piętrowymi był wagon z salą operacyjną, wagon sypialny dla personelu sanitarnego, wagon-kuchnia i wagon dla obsługi – którą stanowili żołnierze rezerwiści. Komendantem tego pociągu był kapitan lekarz dr Latoszyński, którego żona była sanitariuszką i była również przydzielona do tej jednostki. Byłam trochę przerażona tymi zmianami i żałowałam za naszą starą „Czołówką”, w której przeżyłam tyle ciężkich, ale niezapomnianych chwil. Ze żywej załogi zostałam tylko ja jedna. Ale już po kilku rozmowach z nowym szefem odniosłam wrażenie, że jest to bardzo porządny i dobry człowiek, z którym stosunki służbowe dobrze się uło-

żą. Zgodził się chętnie na przyjęcie Anuli Załęskiej, która przyjechała ze mną.

Razem więc z jego żoną było nas trzy pielęgniarki, każda odpowiadała za jeden wagon, a do pomocy miała jednego żołnierza. Z lekarzy, oprócz chirurga, był młody lekarz, podchorąży Wąsowicz. Późniejszy mąż Anuli Załęskiej.

Parę dni zeszło nam jeszcze w Tarnowie na wyekwipowaniu i zaopatrzeniu pociągu. Pobrano z magazynów zapasy opatrunków, instrumenta chirurgiczne, bieliznę pościelową i dla rannych, w końcu zapasy żywnościowe, gdyż z chwilą wyruszenia w drogę mieliśmy być jednostką samowystarczalną.

Dostaliśmy rozkaz wyjazdu, mieliśmy dołączyć do Armii Wschód znajdującej się w rejonie Rohatyna. Jazda tym pociągiem wydawała mi się luksusową podróżą. Jechaliśmy naturalnie wolnym tempem z dużymi postojami na różnych stacjach, ale czas nam się nie dłużył. Po doprowadzeniu wagonów do stanu idealnego spędzało się czas na pogawędkach.

Mieliśmy bardzo dobre wyżywienie, kucharz gotował smacznie, a na obiady schodziliśmy się w wagonie dowódcy. Wagon ten był przedzielony na pół, w jednej części – mniejszej – była sypialnia kapitana i jego żony, w drugiej części była kancelaria i tu, przy dużym stole, zasiadło się do wspólnego obiadu, który nam przynoszono z kuchni.

Na śniadanie dostawało się kawę, którą nam przynoszono do naszego wagonu, chleb „fasowało się” w przypisanej ilości (zdaje się, że pół bochenka dziennie), jak też i suchy prowiant na kolację.

Kapitan Latoszyński okazał się nieocznionym dowódcą – dbał o swoją załogę bez robienia żadnych różnic, umiał zdobywać potrzebne materiały oraz żywność, co nie zawsze było sprawą łatwą. W pracy był wymagający, ale i sam okazał się nie tylko bardzo dobrym chirurgiem, ale nadzwyczaj sumiennym i obowiązkowym.

Po dojechaniu na teren działań wojennych zaczęła się zwykła praca: czasem, gdy akcja była żywsza, mieliśmy pełne ręce roboty, kapitan nie opuszczał nieraz przez cały dzień sali operacyjnej, w której robił opatrunki, a nieraz i zabiegi chirurgiczne. Było to konieczne, gdyż z tego terenu trzeba było dowozić rannych do jakiegoś większego miasta, gdzie był szpital, najczęściej do Lwowa lub Przemyśla.

Taka podróż trwała więc dłużej i ranni musieli być lepiej zaopatrzeni. Z sali operacyjnej przeprowadzało się lub przenosiło rannych do wagonów, po 8–10 osób do każdego wagonu. Podczas drogi każda z nas, pielęgniarek, miała jeden wagon do obsługi. Gdy miało się w wagonie samych lekko rannych, praca była mniej uciążliwa.

Nieraz nastrój wśród żołnierzy był wesoły, śpiewało się różne piosenki, trafiało się nieraz na bardzo miłych, sympatycznych, pełnych zapału i patriotyzmu młodych chłopaków, czasem na jakiegoś kolegę z krakowskich uczelni. Można było wyskoczyć na jakąś przekąskę, a czasem nawet zdrzemnąć się na krześle.

Gorzej, gdy w wagonie znajdowali się ciężko ranni. Wtedy trudno było o wolną chwilę w czasie całej jazdy, trzeba było wykonywać zabiegi przepisane przez lekarza, podawać lekarstwa oraz wodę.

Po oddaniu rannych do szpitala natychmiast razem z żołnierzami sanitariuszami porządkowało się wagony, zmieniano pościel i dopiero po doprowadzeniu wszystkiego do porządku można było wypocząć tak długo, jak trwała jazda powrotna.

Czasem zamiast rannych kazano nam zabierać naszych żołnierzy, którzy przebywali jako jeńcy w obozach ukraińskich. Byli przeważnie tak wycieńczeni głodem i strasznymi warunkami, że potrzebowali opieki lekarskiej. Opowiadali straszne rzeczy o okrucieństwach popełnianych przez żołdaków ukraińskich na ludności cywilnej i na jeńcach wojennych.

Choć sam widok tych żołnierzy wzbudzał naszą ogromną litość, nie lubiliśmy takich transportów, gdyż w przeważającej części byli ci biedacy nie tylko strasznie brudni, ale co gorzej, ich bielizna i ubrania roily się od wszy. Było to tym bardziej niebezpieczne, że na całym terenie działań wojennych szalała epidemia tyfusu. Były wprawdzie całe pociągi „epidemiczne”, które przewoziły chorych na tyfus do odpowiednich baraków szpitalnych, ale nie nadążały wprost z wożeniem chorych, a jeńcy byli uważani za „zdrowych”! Dojeżdżaliśmy naszym pociągiem do coraz dalszych zakątków Małopolski Wschodniej. Wojna ukraińsko-polska zbliżała się ku pomyślnemu dla nas końcowi. Nadszedł wreszcie dzień, w którym kapitan nasz dostał rozkaz stawienia się do Naczeln-

nej Komendy Sanitarnej we Lwowie celem otrzymania nowego skierowania.

Przypuszczaliśmy, że prawdopodobnie pojedziemy w stronę Krakowa i dalej na Śląsk, gdzie zanosilo się na powstanie.

Dobiegał ósmy miesiąc mojej służby wojskowej, czułam się jednak zdrowa, silna i pełna zapału do dalszej służby dla dobra Ojczyzny.

We Lwowie czekała jednak na mnie niespodzianka. Przez cały czas moich podróży pociągiem szpitalnym byłam w kontakcie korespondencyjnym z moim bratem Tuniem, który był nadal we Lwowie. Natomiast nie miałam możliwości pisania listów do Muni, gdyż komunikacja pocztowa z Bukowiną była przerwana.

Tunio wiedział o dniu mojego przyjazdu do Lwowa. Łatwo dowiedział się na Dworcu Kolejowym o godzinie przyjazdu pociągu szpitalnego, ale jakież było moje zdziwienie i radość, gdy z okien pociągu zobaczyłam obok Tunia siostrę moją Munię (Maria Zawadzka, druga co do starszeństwa siostra, zamężna z Witoldem Krzysztofowiczem)!

Ponieważ pociąg nasz był „na postoju” i pracy żadnej nie było, więc bez trudu dostałam przepustkę na cały dzień, aby go spędzić z Munią.

Przyjechała jednym z pierwszych pociągów, które po zakończeniu wojny ukraińskiej zaczęły kursować od stacji granicznej Śniatyn.

Munia wiedziała że wypadki wojenne zaskoczyły Tonia we Lwowie, nie wiedziała jednak nic o moich losach, gdyż przez cały ten czas była pozbawiona wiadomości. Toteż opowiadaniom nie było końca!

Okazało się, że rzeczywiście Felowi udało się szczęśliwie dotrzeć z Chyrowa do Karapczyjowa.

Wprawdzie ubolewał i był rozżalony, że nie bierze udziału w walce o rodzinne Kresy, ale przedostanie się przez cały obszar zajęty przez Ukraińców do jakiejś najbliższej jednostki wojskowej było niemożliwością.

Munia wystarała się też o jakiegoś profesora, który udzielał mu lekcji w zakresie VIII klasy gimnazjalnej, aby nie stracił roku.

Dowiedziałam się także, że w październiku 1918 roku urodził się Witoldom (Witold Krzysztofowicz – mąż Muni) drugi syn, nazwany dla pamięci Sławka – Władysławem („Sławkiem”).

Munia od razu oświadczyła, że przyjechała zabrać mnie do Karapczyjowa, nie brała mi za złe mojego postępowania, przeciwnie, uważała, że postąpiłam słusznie, ale z chwilą zakończenia wojny o Kresy Wschodnie, po ośmiu miesiącach trudów wojennych należy mi się odpoczynek.

W pierwszej chwili nie chciałam się na to zgodzić, tłumaczyłam że nasz pociąg dostanie wkrótce nowy przydział, i że mogę jeszcze być potrzebna. Byłam też zapalona do niesienia pomocy powstańcom śląskim, o których już dużo dyskutowaliśmy z naszą załogą.

W końcu jednak uległam prośbom starszego rodzeństwa, nie chcąc ich martwić.

Gdy na drugi dzień zgłosiłam „służbowo” kapitanowi Latoszyńskiemu swoją prośbę o zwolnienie, był całkowicie zaskoczony. Ale gdy moją prośbę poparły prośby Muni, która zjawiała się na Dworcu, kapitan nie mógł odmówić ujęty jej urodą i wdziękiem.

Z wielkim żalem żegnałam się z całą załogą, bardzo byłam z nimi zżyta i żyłam w przyjaźni ze wszystkimi, poczynawszy od kapitana i jego żony, a skończywszy na kucharzu i ordynansie.

Zazdrościłam Anuli, która miała jechać dalej, zresztą nie byłaby za nic opuściła pociągu, gdyż wszystkim było już wiadome, że zawiązało się coś więcej niż sympatia pomiędzy nią a por. Wąsowiczem.

Nigdy już w życiu nie spotkałam się z kap. Latoszyńskim, dowiedziałam się znacznie później, że zmarł, zaraziwszy się tyfusem.

Po wielu miesiącach, gdy przyjechałam do Lwowa, dzięki uprzejmości pana Franciszka Raciborskiego (brata mojej koleżanki, który odznaczył się bardzo w czasie walk jako dowódca jednostki kawalerii) dowiedziałam się, że w Komendzie Wojskowej miasta Lwowa jestem na liście odznaczonych odznaką „Orleń” za obronę Kresów wschodnich.

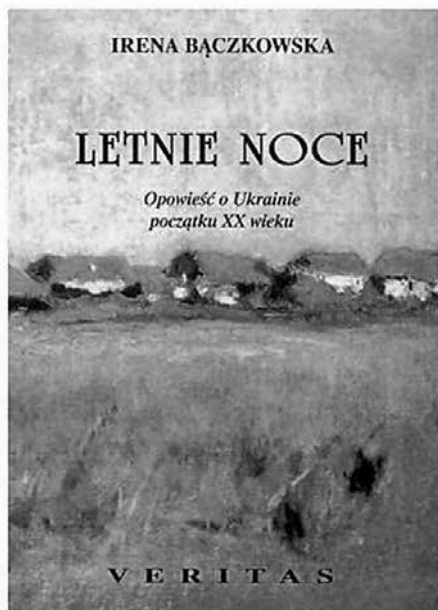
Byłam wówczas tak mało żądna wyróżnień i zaszczytów, a może i nieśmiała, że nie chciałam iść do Komendy „upominać się” o to odznaczenie! Zrobił to za mnie Franciszek Raciborski i przyniósł mi odznakę wraz z dyplomem podpisanym przez gen. Rozwadowskiego.

Dziś wdzięczna jestem, że to zrobił, bo ile razy wezmę do ręki tę skromną, żelazną odznakę, ożywają wspomnienia tamtych niezapomnianych dni młodości, pełnych zapału i patriotyzmu.

Beata Bednarz

Szerokie stepy i wysokie topole Ukrainy w powieści zapomnianej polskiej pisarki – Ireny Bączkowskiej

Irena Bączkowska, z domu Zabłocka, jest nazywana nestorką polskiej literatury. Miała długie i pracowite życie, ale tylko osiem lat poświęciła literaturze. Urodziła się w 1902 roku w Kijowie, w rodzinie o bogatych tradycjach powstańczych. Jej pradziadem był regimentarz konfederacji barskiej Zaremba – postać piękna i romantyczna, babką Honorata Garczyńska, autorka ciekawego pamiętnika, siostrą podchorążych belweder-skich z 1831 roku oraz Stefana – dowódcy powstania wielkopolskiego z 1846 roku. Ojciec pisarki, Wielkopoleś, przeniósł się na Kresy, do Kijowa. Matka, Janina z Sochaczewskich, wywodziła się z Pruszyńskich, ze znanego rodu osiadłego od dawna na Ukrainie. Irena Zabłocka w rodzinnym mieście ukończyła prestiżowe polskie gimnazjum żeńskie Wacławy Perietiatkowiczowej, gdzie uczyły się dziewczęta z polskich rodzin kresowych. Okres pierwszej wojny światowej przeżyła z rodzicami i młodszym bratem w kijowskim mieszkaniu przy bulwarze Bibikowa. W czasie wojny polsko-bolszewickiej pracowała w szpitalach polowych. W wolnej Polsce ukończyła studia w bydgoskiej Akademii Rolniczej i była instruktorką rolną, zajmując się hodowlą drobiu i zwierząt futerkowych. Uprawiała jeździectwo. Zamłotowanie do przyrody i koni podzielał z nią jej mąż. Jak mówiła po latach: „piękny oficer ułanów”, Jan Bączkowski, którego poślubiła w latach trzydziestych XX wieku. Wracając pamięcią do lat młodości, wspominała konne przejażdżki z mężem i Henrykiem Dobrzańskim. Wybuch drugiej wojny światowej zastał Irenę Bączkowską na Litwie, skąd przedostała się przez Estonię do Szwecji, a stamtąd do Francji, gdzie urodziła syna. W 1942 roku przyjechała do Szkocji (do końca życia mieszkała na emigracji). Po wojnie, po powrocie męża z Normandii, o którą walczył u boku gen. S. Maczka, założyli farmę drobiu w Norfolk, ale wkrótce



zbankrutowali. Aby utrzymać rodzinę, podjęła pracę w domu starców. Wtedy zaczęła pisać. Po wyczerpujących zajęciach siadała, żeby pisać, bo, jak sama wyznała, potrzebowała innego świata, dostępnego tylko we wspomnieniach. Po nagrodzonej powieści *Wróble nocy* nagle zamilkła. Powód okazał się prozaiczny. Jej czas i energię pochłonięła praca zarobkowa, gdyż na emigracji niełatwo było utrzymać się z pióra. W 1961 roku zmarł jej mąż. Pozostała sama z synem, który marzył o tym, by zostać lotnikiem. Uczyła biologii w angielskich szkołach prywatnych. Studiowała też etnografię. Po przejściu na emeryturę zamieszkała w ulubionej przez Polaków dzielnicy Londynu – na Ealingu. Czasami publikowała. W 2005 roku, u schyłku życia, otrzymała Nagrodę Literacką Związku Pisarzy na Obczyźnie. Jak w przedmowie do *Letnich nocy* informuje Regina Wasiak-Taylor, część archiwum



Bieg oficerek św. Huberta z udziałem oficerów 1 Pułku Strzelców Konnych w 1935 roku, na pierwszym planie Irena Bączkowska (fot. Narcyz Witczak-Witaczyński, ze zbiorów NAC)

pisarki posiada prof. Stanisław Nicieja, który poświęcił jej twórczości wydane w kraju szkice i wydał w Opolu w 1995 roku wybór opowiadań pt. *Krajobrazy i ludzie*. Do końca swoich dni była silną, niezależną i energiczną kobietą. Nawet gdy przekroczyła już sto lat, wybrała się w podróż do Polski, by spędzić lato w Puszczy Kampinoskiej, gdzie ulubionym jej zajęciem były przejażdżki odkrytym wozem zaprzężonym w parę koni. Zmarła w 2006 roku w Londynie.

Irena Bączkowska zadebiutowała opowiadaniem *Kujawski bal*, wysłanym w 1953 roku do londyńskich „Wiadomości”. Krytycy i czytelnicy od razu okrzyknęli autorkę objawieniem literackim na emigracji. Kolejne opowiadanie, pt. *Droga do Braiłowa*, potwierdziło jej talent pisarski. Walory jej pisarstwa dostrzegli Józef Mickiewicz, Jan Rostworowski, Melchior Wańkowicz i Stanisław Cat-Mackiewicz.

Letnie noce to epicka historia o losach mieszkańców polskich zaścianków położonych na ziemiach nadniebrzańskich w latach 1900–1914. Utwór został doceniony i wyróżniony I nagrodą „Wiadomości”. Pierwsze wydanie *Letnich nocy* ukazało się w 1963 roku pod tytułem *Wróble noce*. W ponownej edycji, londyńskiej z 2005 roku, zmieniono

tytuł na *Letnie noce*. Autorka przedmowy, Regina Wasiak-Taylor, nie wyjaśnia jednak powodu tej zmiany. Wydaje się, że pierwotny tytuł trafniej oddaje urodę powieści i brzmi bardziej poetycko.

W *Letnich nocach* pisarka ukazuje codzienne życie polskiej społeczności mieszkającej w Koczorówce i Pszenorodzi; tylko czasami przenosimy się do Kijowa albo Brusilowa, gdzie *mądrzy Żydzi [...] mieszkają, światowi, kombinatorzy, międzynarodowi ludzie, wszędzie swoich mają, po świecie całym*. Galeria wykreowanych przez Bączkowską postaci cechuje się dużym zróżnicowaniem. Poznajemy przede wszystkim taką oto przedziwną populację: *Szlachta polska kresowa od wieków tu osiadła, bogata, pyszna i barwna. Łby męskie – wielkie i uparte, karki trudne do zgięcia, czoła szerokie, buta na twarzach, chociaż korzą się w tej chwili przed Bogiem. Odważni są i szaleńczy, jakżeż zdolni i pracowici. Jakże pyszni w swym „samodurństwie”, nieustępliwi i dufni w sobie. Ileż to krwi, ras i gatunków złożyło się na tę szlachecką kombinację [...] A jakżeż inny jest świat pracowników i urzędników. To ludzie, co przyszli przeważnie za chlebem z głębi Polski, sublaponoidzi lub typ dynarski – śródziemnomorski; ludzie znacznie drob-*

niejsi i delikatniejsi w budowie, elegancy i wiotcy, sentymentalni i szemrzący z lekka w mowie, jak zwiewna nuta kujawiaka. W położonym w Koczorówce szlacheckim dworze, w którym straszy zmarły dziadek Fredzio (*wariat, muzyk, szaleniec, dziwak i esteta*), mieszka Ariana, zwracająca uwagę swoją osobliwością nastolatka, lubiąca łązić po dachach i plewić buraki, wraz z matką i francuską guwernantką Luisą, którą gorące serce wyгнаło z dalekiej, południowym słońcem rozgrzanej, Prowansji, od zapachu winogron i gorącej oliwy, od szarych, oliwkowych drzew i szarawych winnic, od tapacatych o dwukolorowym pniu platanów – do szerokich stepów i wysokich topoli Ukrainy. Inną bohaterką powieści jest córka lokaja Katerina, która swego czasu służyła u dwóch hrabin, ale właśnie zaczyna pracę u nowej pani – młodej i nabożnej, sporo dzieci chowającej, szkółki i ochronki dla dzieci wiejskich zakładającej. Nie lekkie i pracowite życie ma Klimowa – żona lubiącego zaglądać do butli z gorzałką chłopca i matka dwanaściorga dzieci. Zmarniała i wyczerpana kobieta umiera nagle, przy pieczeniu chleba, tuż po porodzie kolejnego dziecka. A tymczasem w sąsiedniej Pszenorodzi żyje sobie w pałacu bez większych trosk, stale przyciągając mężczyzn swoim zewnętrznym powabem i szaloną dezynwolturą, pięć córek hrabiny „Riepusze” (*wymawiaj z francuska* – radzi snujący opowieść wszechwiedzący narrator), jak panią Melę przezwiała Grey, studentka z Krakowa. Wszystkie *damy na leniwym życiu wyhodowane – wytworne kobiety tego kraju*.

Taki mniej więcej przekrój społeczny Ukrainy przed wybuchem pierwszej wojny światowej przedstawia powieść Ireny Bączkowskiej. Życie większości bohaterów biegnie niespiesznym rytmem, jednak nie omijają ich troski materialne, nieporozumienia i rodzinne tragedie. Jedni są oddani pracy i zapobiegliwi, co urasta do symbolu polskości, tak jak w *Nocach i dniach* Marii Dąbrowskiej – w ich domach przechowuje się tradycja i mówi po polsku. Pozostali, wywodzący się z wyższego stanu, próżnują i nudzą się, dzieląc życie między spacery, bale i intrygi. W okresie rozbiorów Polacy wywodzący się ze szlachty zagrodowej przybywali z Królestwa na Ukrainę za chlebem, szukając posady między innymi przy cu-

krowniach. W usta jednej z bohaterek włożył pisarka znamienne słowa: *Wieki my tu już siedzimy, różną nas, od czasu do czasu, pałą, grabią, w jasyr gonią, uciekamy, po lasach się chowamy, wyjeżdżamy do Polski, znów wracamy, i tak trwa już parę wieków [...] po polsku dobrze mówimy, wszyscy czytać i pisać umieją i tej polskości – jak zbawienia się trzymają*.

Powieść cechuje styl gawędy kresowej; można niemal usłyszeć ukraiński zaśpiew, a ponadto zwiewną nutę kujawiaka, kozaka czy hopaka. Autorka bardzo malowniczo i z wyraźnym znanstwem opisuje obyczajowość mieszkańców Ukrainy u początku XX wieku, np. tradycję zachowaną od czasów pańszczyzny, czyli chodzenie służby do dworów po srebrnego rubla, a także chrzest, pogrzeb, bale i kuligi. Dzięki utworowi możemy zajrzeć również do kresowej kuchni oraz wnętrza domostw chłopskich i szlacheckich.

Źródła:

Irena Bączkowska, *Letnie noce. Opowieść o Ukrainie początku XX wieku*, Veritas, Londyn 2005.

Regina Wasiak-Taylor, *Ojczyzna literatura. O środowisku skupionym wokół Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie*, Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 2013.



Irena z mężem Janem i synem Jerzym w Aucherader, Szkocja, 1946 r. (fot. A. Niebudek)

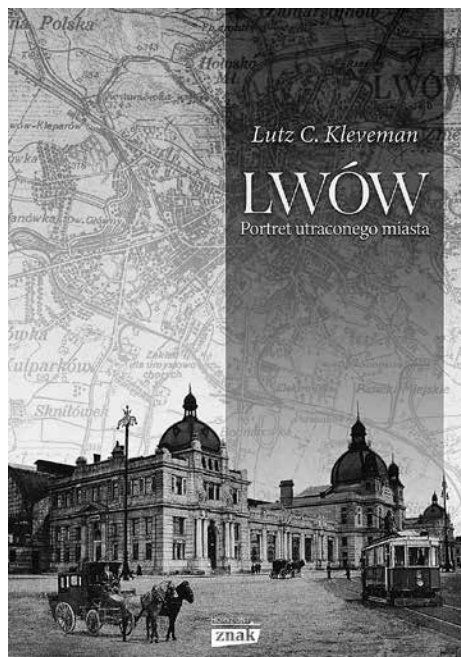
Adam Wierciński

Nie takie znowu prawdziwe...

Na okładce książki niemieckiego autora o Lwowie wczorajszym i dzisiejszym zapewnienie polskiego wydawcy: *To nie będzie sentymentalna wycieczka po wyidealizowanych lwowskich ulicach. To będzie podróż, podczas której poznamy prawdziwe [sic!] oblicze miasta* (zob. Lutz C. Kleveman, *Lwów. Portret utraconego miasta*, przekład Dariusz Guzik, Kraków 2019, Znak Horyzont).

Czytelnik jako tako zorientowany w historii dawnej Galicji Wschodniej znajdzie w tej oryginalnej i ciekawej, ale reklamowanej z przesadą książce, wiele uproszczeń i wmówień. Z sentymentem pisze Kleveman o czasach Habsburgów, ale może przydałoby się przypomnieć i o tym, jak to w Galicji bywało przed 1867 rokiem. Przypominał Stanisław Wasylewski o czasach spisków polistopadowych: *W tych latach dwudziestu Lwów przeszedł katusze niemniej dotkliwe od razów knuta rosyjskiego, lecz usunęły się w pamięci narodu na plan dalszy tylko dlatego, bo mając swych Nowosilcowych nie znalazły Mickiewicza. Przeżycia epoki owej upamiętniono raczej na wesoło („Obrona Sokołowa”). I oto objaw znamienny dla temperamentu miasta, które na ucisk odpowiadało butnie i humorem splatanym w rymy na pryczy u Karmelitów! Nawet St. Tarnowski tańczył w kryminale* (Stanisław Wasylewski, *Lwów*, Poznań 1931, s. 117).

O polskim 20-leciu we Lwowie więcej barw ciemnych (o nacjonalizmie i antysemityzmie wspomina autor często gęsto). Długo by pisać o tym, co Kleveman przyczernił z przesadą, a o czym napisał za mało. Rażą niektóre sformułowania, czasem odpowiedniego słowa zabrakło. Mógł tu i tam pomóc autorowi tłumacz, mógł wydawca niektóre zdania opatrzyć komentarzem. O Lwowie lat 30. XX w.: *Był miastem kosmopolitycznym, pełnym zarówno radości życia, jak i pobożności. Został nazwany „europejską Jerozolimą”, gdyż rezydowało tam jednocześnie trzech arcybiskupów, reprezentujących polskich katolików, ukraińskich grekokatolików (unitów) i ormiańskich chrześcijan* (s. 22).



Lwowscy Ormianie też byli katolikami, w XVII już wieku powstał Kościół ormiańskokatolicki. Fenomen Lwowa polegał na tym, że był siedzibą trzech arcybiskupów katolickich; stały tam trzy katolickie katedry dla wiernych różnych obrządków.

Inne wmówienia. Autor tak napisał o lwowskim pomniku Mickiewicza: *Adam Mickiewicz jest dziś we Lwowie ostatnim odlanym ze spiżu Polakiem. Zdumiewa fakt; że Ukraińcy jak dotąd go nie tknęli...* (s. 18). Zdanie brzmi efektywnie, ale dlaczego pomnik nietknięty zdumiewa autora? Gdyby rozejrzał się uważniej po mieście, znalazłby jeszcze dwóch Polaków na cokołach: w parku Łyczakowskim stoi pomnik Bartosza Głowackiego, a w parku Stryjskim – Jana Kilińskiego. Po wojnie ekspatriowano do Polski w nowych granicach pomniki króla Jana III, Aleksandra hr. Fredry i Kornela Ujejskiego. Głowackiemu, bohaterowi spod Raławic i dzielnemu szewcowi Kilińskiemu pozwolono pozostać na pomnikach zapewne ze względów klasowych.

O czasach austriackich: *Niespełna sto lat temu Lwów należał do Austro-Węgier, będąc stolicą cesarsko-królewskiego kraju koronnego: Królestwa Galicji i Lodomerii oraz księstwa Oświęcimia i Zatora* (s; 25). Od 1846 urzędowa nazwa kraju koronnego brzmiała tak: Królestwo Galicji i Lodomerii wraz z Księstwem Oświęcimskim i Zatorskim, tudzież Wielkim Księstwem Krakowskim. O miłościwie panującym cesarzu: *Hymn śpiewano w czteremastu językach, a cesarz Franciszek Józef I, rządzący monarchią od 1848 do 1916 roku, a więc przez niemal siedem dziesięcioleci, rozpoczął swoje przemowy czule paternalistycznym „Moje narody!”* (s. 27). Pojęcie narodu było dla cesarza niezrozumiałe, nigdy też oficjalnie nie używał takiego określenia. Do swoich poddanych zwracał się inaczej: „Do Moich ludów!” Wielkie „M” i małe „l”.

Z metropolitą Szeptyckim też było inaczej, niż to napisał Kleveman (a wydawca zapomniał poprawić); kiedy w 1914 r. Rosjanie okupowali Lwów: *Domniemanych szpiegów oraz wielu duchownych Kościoła, greckokatolickiego, w tym samego metropolitę Andrzeja Szeptyckiego, zesłano na Syberię* (s. 58). Metropolita nigdy nie był zesłany na Syberię. Deportowano go do Kijowa, stamtąd do Niżniego Nowgorodu, później do Kurska i Suzdału, a z czasem do Jarosławla. Po rewolucji lutowej został uwolniony z aresztu klasztornego i w lipcu 1917 r. przez Szwecję udało mu się wrócić do Austrii; we Lwowie witano go we wrześniu tegoż roku.

Gdzie indziej autor zapomniał, że dawna Galicja dzieliła się na dwie części: *w latach 1919–1923 dawna Galicja, zwana wtedy „Małopolską” [sic!], została co prawda uznana za „sporne terytorium”, w rzeczywistości jednak należała już do Drugiej Rzeczypospolitej...* (s. 77). To wschodnia część Galicji, nazywana mimo sprzeciwu geografów „Małopolską Wschodnią”, została uznana przez Ligę Narodów za sporne terytorium.

Polityka Drugiej Rzeczypospolitej po tolerancyjnych rządach austriackich miała przyczynić się przede wszystkim do przyszłych konfliktów: *Dowodzą tego również walki między ukraińskimi i polskimi partyzantami, które w ostatnich latach wojny pochłonęły w Galicji Wschodniej i na Wołyniu niemal sto dwadzieścia tysięcy ofiar* (s. 316).

Takie zdanie zostawić bez odredakcyjnego komentarza! To nie były przecież walki między partyzantami, to były czystki etniczne, puszczanie z dymem bezbronnych wsi i rozpaczliwe próby samoobrony.

I jeszcze zdanie o końcu okupacji niemieckiej: *Niemieckie oddziały 26 lipca 1944 roku bez walki [sic!] poddały Lwów Armii Czerwonej, dzięki czemu miasto przetrwało w stanie nienaruszonym* (s. 316). Było inaczej: *Główne siły niemieckie wycofały się co prawda z miasta już 21 lipca, a następnego dnia wkroczyły do niego pierwsze oddziały radzieckie, lecz starcia uliczne trwały jeszcze przez kilka dni. [...] W dniu 22 lipca walczone w rejonie Pasiek i na Łyczakowie, dzień później wyparto Niemców ze śródmieścia, w następnych dniach trwały jeszcze walki na północnych i zachodnich peryferiach. [...] W nocy z 27 na 28 lipca Niemcy ostatecznie wycofali się ze Lwowa* (Grzegorz Rąkowski, *Lwów. Przewodnik krajoznawczo-historyczny po Ukrainie Zachodniej, Część IV*, Pruszków 2008, s. 51).

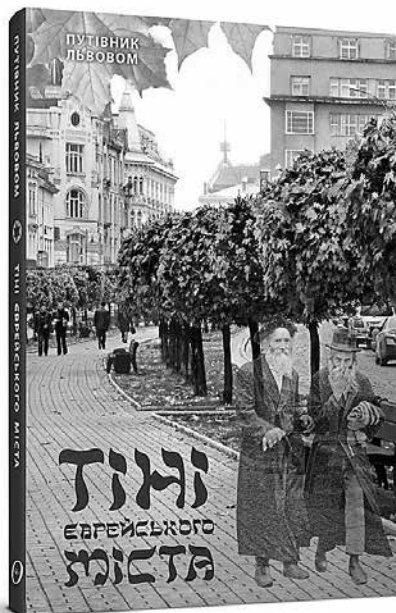


Lwów. Kolumna Mickiewicza. — Lemberg. Mickiewicz-Monument.

Antoni Wilgusiewicz

Przewodnik po nieistniejącym Lwowie

Na ogół nie recenzuję książek w językach obcych, ale książka Andrija Kozickiego jest na tyle pasjonująca, że podjąłem się tego zadania. Mam zresztą nadzieję, że szybko znajdzie się polski wydawca tego przewodnika po mieście, którego już w zasadzie nie ma – po żydowskim Lwowie. Jeśli bowiem mówimy o wielokulturowym Lwowie, to nie możemy pominąć jego żydowskich mieszkańców, z których zresztą znaczną część identyfikowała się z polską kulturą – jak choćby rodzina Stanisława Lema, co podkreśla autor (s. 125). Do tej samej rodziny należał również kuzyn Lema, Marian Hemar, który – według słów autora – obrawszy polską tożsamość, stał się jednym z najbardziej znanych piewców Lwowa XX wieku (s.111). Nie ma niestety innego żydowskiego artysty, twórcy między wieloma innymi tekstami piosenek arcyprzeboju lwowskiego *Tylko we Lwowie* Emanuela Szlechtera. Inni znani polscy literaci wywodzący się z żydowskiej społeczności Lwowa to tak znane później osoby, jak Stanisław Jerzy Lec, Artur Sandauer (urodzony w Samborze), czy także nie wspomniany w przewodniku Jan Gerhard. Wielu spośród literatów, którzy znaleźli się we Lwowie podczas pierwszej okupacji sowieckiej, podjęło współpracę z władzą, na której zresztą nie wyszli dobrze. Autor przypomina głośną bój-



kę w klubie literatów przy ulicy Jagiellońskiej 5/7, w wyniku której oskarżono o nacjonalizm i aresztowano sporą grupę głównie żydowskich pisarzy, jak Tadeusz Peiper czy Leopold Lewin (s.105–106).

Na kartach książki spotkamy całą galerię uczonych, artystów, prawników, niekiedy wręcz o światowej sławie, jak matematycy Hugo Steinhaus i Stanisław Ulam (później jeden z twórców bomby atomowej). Są tu twórcy pojęcia ludobójstwo w prawie międzynarodowym – Rafał Lemkin i Hersz Lauterpacht, a także międzynarodowej sławy ekonomista Ludwik Mises czy jeden z najsłynniejszych polskich historyków, Szymon Askenazy. Spotkamy także kupców i przedsiębiorców, jak Majer Baczeles, który później przyjął nazwisko dobrze znane miłośnikom mocnych trunków – Baczewski albo właściciele lwowskich kawiarni, między innymi luksusowej Warszawy przy placu Smolki – Franciszek Moszkowicz czy też legendarny Moryc Lejba Atlas (wiadomo, o co chodzi!). Są też

Lwów, wnętrze synagogi przy ul. Braci Michłowskiich (fot. Adam Wilgusiewicz)





Synagoga Iwowska (fotografia z zasobów NAC)

postacie oceniane zdecydowanie negatywnie zarówno przez autora, jak i polską opinię publiczną, na przykład osławiona Krwawa Luna – Julia Brystygirowa.

Autor koncentruje się na warstwie faktograficznej, opisując poszczególne obiekty, niekiedy już nie istniejące, jak wspaniała Synagoga Złotej Róży, czy również zniszczona przez hitlerowców synagoga „postępowa” na Starym Rynku. Takiemu zamysłowi służy układ książki, która składa się z opisu 6 tras zwiedzania Lwowa szlakiem żydowskich śladów – budowli i osób z nimi związanych oraz siódmej, w której pokazano żydowskie tradycje pobliskich miast i miasteczek, jak Żółkiew, Belz czy słynne z tego Brody. Dobrze opracowana mapa może służyć samodzielnemu zwiedzaniu, ale też lekturze książki i zapoznaniu się z żydowskimi tradycjami Lwowa przez osoby, które nie mogą miasta odwiedzić. Mniej miejsca autor poświęca opisom martyrologii Żydów, choć oczywiście są tu opisane getto czy obóz janowski. Być może szersze opisy niektórych wydarzeń, zwłaszcza z okresu początków niemieckiej okupacji Lwowa, mogłyby być niewygodne dla ukraińskiego czytelnika. Zdziwienie natomiast polskiego czytelnika może budzić krytyka filmu Agnieszki Holland *W ciemności*, w którym – zdaniem autora – jako ratujących Żydów ukazano jedynie Polaków, pomijając Ukraińców. Z kolei jednak autor podkreśla działania polskiej Rady Pomo-

cy Żydom Żegota – między innymi zbiórki pieniędzy na pomoc Żydom w kościele św. Elżbiety (s. 160).

Książka jest wydana bardzo starannie, na doskonałym papierze, zaopatrzona w liczne ilustracje – także pokazujące polskie ślady Lwowa oraz indeks osób. Układ tekstu – np. wytłuszczenia nazwisk – sprzyja orientacji w nim, także podczas zwiedzania w terenie. Pamiętając, że książka jest napisana w języku ukraińskim dla ukraińskiego czytelnika, mogę ją zdecydowanie polecić także polskiemu czytelnikom, którzy są w stanie pokonać barierę językową. Wydawcom zaś rekomenduję jej jak najszybszy przekład i wydanie w języku polskim! Leżeć na półkach nie będzie.

Andrij Kozicki, *Tini ewrejskowo mista (Cienie żydowskiego miasta). Putiwnik Lwowom (Przewodnik po Lwowie)* – w jęz. ukraińskim. Wyd. Litopis, Lwów 2019



Lwów, wnętrze synagogi przy ul. Braci Michniowskich (fot. Adam Wilgusiewicz)

W tramwaju i w kinie

Henryk Greb o przyjemnościach tłoku i ścisku

Jeszcze raz przypominamy postać Henryka Greba i jego wiersze, mające w trudnych czasach, wedle własnych słów autora, *odciągnąć ludzi od trosk codziennych lapidarną a dowcipną obserwacją życia*. W znajdującym się w zbiorach Biblioteki Naukowej PAU i PAN w Krakowie zbiorze (rkps 8081) utworów Greba, publikowanych w latach 1942–1943 w „Gazecie Lwowskiej” znajdujemy wiersze, nie mające akurat nic wspólnego z ponurymi realiami okupacyjnymi. Mogły one równie dobrze powstać i w latach trzydziestych, a ich motywem wspólnym jest – tłok i tłum. Dwa z nich dotyczą lwowskiej komunikacji, jeden – seansów kinowych. Warto

je przypomnieć jako zabawne przedstawienie życia miasta. Tu trzeba dodać, że wiersz *Poradnik tramwajowy* zawiera złośliwostki pod adresem poszczególnych linii tramwajowych, zwłaszcza Trójki (trasa od Rogatki Janowskiej ku Cmentarzowi Łyczakowskiemu), Czwórki (prowadzącej ku zielonym terenom Wysokiego Zamku) czy Ósemki (jadącej od Bogdanówki na Łyczaków). Z kolei wiersz *W kinie*, ukazujący całą gamę zachowań widzów, z pewnością nie powstał w czasach okupacji niemieckiej, jest pogodnym świadectwem lat przedwojennych. A zatem, wspólnie z Henrykiem Grebem, wsiądźmy do lwowskiego tramwaju i pojedźmy do kina...

PORADNIK TRAMWAJOWY

Chcesz spotkać najmiłsze we Lwowie dziewczynki
I flircik nawiązać – siadaj do „Jedynki”.

Uwielbiasz przydługie na przystankach stójki,
Stań, czekaj – a może doczekasz się „Dwójki”.

Gdyś smutny po stracie teściowej lub wujka,
Z cmentarza na cmentarz zawiezie cię „Trójka”.

Gdy nagle podziła słodka konfiturka,
W ustronie pod Zamek pomknie z tobą „Czwórka”.

Lubisz pięścić toboły, ścisnąć zawiniątka,
Pełnię tych rozkoszy dostarczy ci „Piątka”.

Chcesz spotkać się z ludem, siedzieć na pietruszce
Wykąpać się w nafcie – ulokuj się w „Szóstce”.

Lubisz sport, zrezygnuj z poobiedniej drzemki
Wsadź w kieszeń sześć złotych, uczep się „Siódemki”.

Pragniesz słyszeć łacinę, dostać w łeb po ciemku,
Wyleczyć nagniotki – jedź tylko „Ósemką”.

Lubisz spory długie i kłótnie gorące,
To ci koncert dadzą paniusie w „Dziewiątce”.

Chcesz zwiedzić urocze nad Pełtwią zakątki,
Uwieść dziewczę w parku – siadaj do „Dziesiątki”.

Gdy ci jednak śpieszno, dźwigasz większą kwotę,
I kruche masz kości, to – idź na piechotę!

Gazeta Lwowska 1943, nr 23 z dn. 28. I.

PRZYGODA W „JEDYNCE”

Gdy w piątek, jak lord jaki, wracałam „Jedynką”
Ściśnięto mnie nagle z rozkoszną blondynką.
Dziewczyna, jak marzenie: zbudowana cudnie,
A grała jako słońce w lipcowe południe!

Po raz pierwszy pojąłem, co znaczy być w raj...
Po raz pierwszy nie tylko nie kłąłem w tramwaju.
Lecz stałem drogim pudłom bezsłowną podziękę.
Nagle dziewczę krzyknęło: „Panie, weź pan rękę!”

I dodało, śląc gromy cudnymi oczyma:
„Cóż to myśli pan o mnie! Za co pan mnie trzyma!”
Ja poblądłem – lecz ona, śląc mi uśmiech długi,
Szepnęła, cała w ogniach: „Nie!... Nie pan... Ten drugi!”

Gazeta Lwowska 1943, nr 7 z dn. 9. I.

W KINIE

Wszedłem wczoraj do kina, a że łyk wypilem,
Siadłem w krześle na opak: do ekranu tyłem.
Ledwie światło zgasło, patrzę – i w ciemności
Dziwne ruchy dostrzegam wśród kinowych gości:
Tu błędzą czyjeś dłonie, tam tulą się głowy,
Ktoś inny rozpoczyna jeść chleb tygodniowy,
Jakiś pan ściąga meszty, by ulżyć nagniotkom,
Obok młodzian handluje z swoją własną ciotką.
Za nimi zaś zaczyna kochaneczków dwoje
Grać w znaną grę kinową: co twoje – to moje.
W tyle dwa kinomany z kinomanką jedną
Taki flircik prowadzą, że aż uszy wędzną!
Z kąta leci szept drżący: „Bądź moją! Jagusiu!”
Obok płacze dziecina: „Ciociu!... Ja chcę siusiu!”
Starszy brodac z zapalem czyści sztuczną szczękę,
Gdy mu sąsiad od lewej w kieszeń wtyka rękę.
Pół sali ryczy śmiechem, pół ociera łezki,
Jęczy jakaś paniusia: „gdzie mój lis niebieski?”
Tuż siedzą jak dwa słupy panienka z młodzieńcem
I co spojrzą na siebie – to płoną rumieńcem.
Jedna parka porządna w publiczności tłumie!
Ona chciałaby – nie śmie, on chciałby – nie umie.
Jakiś gość ściska – cudzie! – rękę własnej żony.
Nagle światło zabłysło – i program skończony!
Odtąd jeśli się zechcę ubawić cudownie,
Będę zawsze tak siadał: Frontem do widowni!

Gazeta Lwowska 1943, nr 11 z dn. 14. I.

Danuta Nespiak

Epitafium dla Andrzeja

W ostatnich miesiącach tkwimy w nieustannej żałobie... Wciąż żegnamy bliższych i dalszych znajomych – napisał redaktor naczelny „Cracovia-Leopolis” pan Janusz Paluch (nr 1/2019). Rozważania o odchodzeniu zamknął uwagą, że czasem te odejścia są niezauważalne, bezszelestne i niespodziewane. Andrzej Chlipalski odszedł. Mieszkaliśmy bliźniutko, naprzeciw, przy ul. Zofii Chrzanowskiej, ale ja biegłam do szkoły im. S. Konarskiego, która była położona dalej, przy ul. Leona Sapiehy i wieńczyła róg ul. W. Kętrzyńskiego.

Rodzice Andrzeja jako ekspatrianci wybrali Kraków, moi – obrócony w ruinę Wrocław. Krakowskie środowisko kresowiaków zaczęło się integrować w latach 70., wrocławskie – sekretnie i konspiracyjnie, towarzysko już przy końcu 1946 roku, bo się lwowianie nawzajem szukali.

Kiedy pierwszy numer „Cracovia-Leopolis” wyszedł z druku 8 sierpnia 1995 roku, nie było to dla mnie niespodzianką. O zamiarze powołania nowego kresowego czasopisma Andrzej informował mnie od początku, co uważałam za dowód zaufania i przyjaźni, zgadzając się z jego opinią, że obok wydawanego wtedy już we Wrocławiu dwumiesięcznika Zarządu Głównego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich istniała potrzeba na nowe czasopismo kresowe o szerszym publicystyczno-naukowym charakterze niż „Semper Fidelis”.

Odejście Andrzeja jest dalszym ciągiem kresowego „zmięczenia bogów”, bo tylu zna-

komitych ludzi Kresów nie ma już wśród nas żyjących. Andrzej był przedstawicielem kilkupokoleniowej lwowskiej inteligencji, z dobrą przedwojenną kindersztubą, co znajdowało swoje odbicie w atmosferze jego domu w Krakowie, w którym kresowość łączyła się z ujmującym sposobem bycia jego żony, pani Hanny, rodowitej warszawianki.

Dla Andrzeja polskość Lwowa i Kresów Wschodnich miała swój fundament w wielowiekowych związkach z kulturą zachodniej Europy, wyrosłej na grecko-rzymskich korzeniach.

Andrzej nie był łatwym partnerem w dyskusjach. Bywał uparty, miał swoje „prawdy”, których uparcie bronił. Dotyczyło to np. łędziańskiej prapolskości i związków Krakowa w repolonizacji obszaru zasiedlonego przez Łędzian, których owa prapolskość była uzasadnieniem

nazwy Małopolska Wschodnia.

Jego koronny projekt, by powołać Instytut Polskiego Dziedzictwa Historii i Kultury Kresów Wschodnich, był popierany przez organizacje kresowe, a także metodą ankiet przez wielu przedstawicieli życia społecznego, naukowego i kulturalnego, ale zakończył się na tym wstępnym etapie i nie nabrał ani w Krakowie, ani we Wrocławiu oficjalnego „rozpędu”, a tematem tym zainteresowano nawet wrocławskie Ossolineum. Nasuwa się tu refleksja, czy w królewskim mieście Krakowie, w którym wychodzi najlepsze pismo kresowe „Cracovia-Leopolis”, znajdują się ci, którzy się tym projektem zainteresują?



Fot. Krystyna Stańska

I strona okładki:

Widok na Lwów z Góry Zamkowej (1939), fot. Bronisław Pindelski



**Biblioteka
Kraków**

Wydawca:

Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

p.o. Prezesa Zarządu:

Stanisław Czerny

Rada Programowa:

Stanisław Czerny – p.o. prezesa Krakowskiego Oddziału TMLiKPW, dr Stanisław Dziedzic – dyrektor Biblioteki Kraków, dr Karolina Grodziska – Biblioteka PAU i PAN, ks. prof. dr hab. Józef Wołczański – Uniwersytet Papieski Jana Pawła II, Katedra Historii XIX i XX wieku, dr Tadeusz Skoczek – dyrektor Muzeum Niepodległości w Warszawie, Janusz Paluch – kierownik Działu Animacji i Wydawnictw Biblioteki Kraków

Redakcja:

Paweł Brzegowy, Jarosław Krasnodębski (Warszawa), Anna Madej, Janusz M. Paluch (redaktor naczelny), Michał Piekarski (Warszawa), Krystyna Stafińska, Anna Stengl, Barbara Szumska, Natalia Tarkowska, Aleksandra Solarewicz (Wrocław), Marta Walczewska

Strona internetowa CL: www.cracovia-leopolis.pl

oraz www.facebook.com/Kwartalnik-Cracovia-Leopolis-306168136114769/

Adres redakcji:

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: info@cracovia-leopolis.pl

Informacje o kwartalniku CL: cracovialeopolis@gmail.com, tel. 608 155 693

Konto bankowe Oddziału TMLiKPW w Krakowie:

53 1020 2892 0000 5002 0121 7918

Przygotowanie do druku: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, fall@fall.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja nie odpowiada za opinie, stwierdzenia i reklamy, które stanowią wyraz poglądów ich autorów.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

Janusz M. Paluch JUBILEUSZOWO...	Natalia Tarkowska PRZYBĘDA, BURZLIWA HUCULSKA MIŁOŚĆ NA SREBRNYM EKRANIE	35
Anna Madej XXX LAT ODDZIAŁU KRAKOWSKIEGO TMLiKPW	P O E Z J A 2 TADEUSZ ŚLIWIAK	38
Stanisław Czerny OCALAMY POLSKIE MOGIŁY...	4 Stanisława Kolbuszewska WSPOMNIENIA Z ZAPOMNIANEJ SZKATUŁKI	40
Anna Stengl SPOTKANIA CZŁONKÓW I SYMPATYKÓW TMLiKPW W KLUBIE „POD GRUSZKĄ”	7 Paweł Brzegowy Z RATUNKIEM DLA KAPLICY KRZYŻANOWSKICH	43
Krystyna Stafińska KOŁO STANISŁAWOWIAN	10 P R O Z A Dyoniza z Zawadzkich Wieczfińska LISTOPADOWE DNI WE LWOWIE	45
Anna Madej KLUB TARNOPOLAN	17 Beata Bednarz SZEROKIE STEPY I WYSOKIE TOPOLE UKRAINY W POWIEŚCI ZAPOMNIANEJ POLSKIEJ PISARKI IRENY BĄCZKOWSKIEJ	55
Romana Żuk PRZYGODY Z KRESAMI	19 Adam Wierciński NIE TAKIE ZNOWU PRAWDZIWE...	58
Janusz M. Paluch „CRACOVIA-LEOPOLIS”? OBECNY!	20 Antoni Wilgusiewicz PRZEWODNIK PO NIEISTNIEJĄCYM LWOWIE	60
WSPOMNIENIE ANDRZEJ CHLIPALSKI (1931–2019)	23 Karolina Grodziska W TRAMWAJU I W KINIE	62
R O Z M O W Y Aleksandra Solarewicz ROZMOWA Z ANNĄ FASTNACHT- -STUPNICĄ	25 Karolina Grodziska HENRYK GREB O PRZYJEMNOŚCIACH TEOKU I ŚCISKU	62
MUSICA LEOPOLIS Michał Piekarski MONIUSZKO I LWÓW	29 Danuta Nespiak EPITAFIUM DLA ANDRZEJA	64
Aleksander Medyński ZBIORY BOLESŁAWA ORZECOWICZA	32	